

MARTIN HUSKA

POLACY I SŁOWACY

Otrzymał mi z rąk bratniego narodu słowackiego następujący artykuł.

„Słowacy mają przed sobą polityczną przyszłość. Dualizm austriacko-węgierski nie da się utrzymać: trwa tak długo jak długo Berlin panuje nad Europą.

„Słowacy nie chcą być Czechami zajmując takie etnograficzne położenie, że nam Polakom musi wiele zależać na ich sympatiach. O polskie sympatie nie trzeba zabiegać. My sympatyzujemy ze wszystkimi uciemiężonymi. Całym sercem stoimy po stronie Słowaków. Najbardziej zależy to i najbardziej zaniedbany naród pomiędzy naszymi pobratymcami. Nie wabamy się jednak powiedzieć jednej prawdy: zachwyceni byli światem szybkim rozwojem, jakiego dokonali Czesci, w przyszłości jednak więcej on się zażądał, szybszym jeszcze rozwojem Słowaków. Lud ten bowiem posiada niespotykane zdolności.

„Gdyby Słowacy mieli przynajmniej dwadzieścia lat swobodnego rozwoju kulturalnego i państwowego, ujrzelibyśmy podziwu godne rzeczy na południe od Tatr. A przez ich kraj prowadziłaby dalsza droga na południe. Od nich będzie niekiedy zależało utworzenie państwa słowackiego lub zabronienie. Dzieła zaś takiego ten tylko dokona, komu Słowacy zaufają. Nie można sobie wyobrazić większego błędu nad ten, jaki popełniają Madziarzy ciemiężąc Słowaków!”

Dr Feliks Koneczny (S w i a t S ł o w i a k s k i, Kraków, 1907, str. 12)

Nie wiem, czy znaleźć w polskiej literaturze politycznej umysł bardziej przewidujący, aniżeli ten właśnie polski historyk, dr Feliks Koneczny. Zbadajmy, ile spełniło się z tego, co przewidywał on w r. 1907:

Dualizm austriacko-węgierski rozpadnie się z chwilą załamania się wpływu Berlina w Europie.

Spełniło się. Austro-Węgry rozleciały się w chwili, kiedy w r. 1918 Berlin skapitulował.

Słowacy, którzy — faktem jest — nigdy nie chcieli być Czechami, ani też Czechosłowakami, w ciągu dwudziestu lat swego żywota w Czecho-Słowacji, mając jako taki samorząd w gminach, dali niezaprzeczone dowody kulturalnego rozwoju.

Kiedy minali wspomniany przez Feliksa Konecznego 20-letni okres swobody i rozwoju — było to w październiku 1938 — Słowacy od samorządu w gminach przeszli do samostanowienia w całym kraju, osiągając utworzenie parlamentu ustawodawczego w Bratysławie dla całej Słowacji.

Od tego okresu począwszy, urzeczywistniło się i to, co przewidywał Feliks Koneczny: „na południe od Tatr ujrzelibyśmy podziwu godne rzeczy”. Naród, najbardziej i najbardziej zaniedbany pomiędzy pobratymcami* udowodnił swą zdolność i pracę, że znaczy coś na kartce Europy, na której — jak już miejsce w 1939 r. — na sześć miesięcy przed wybuchem obecnej wojny światowej. Podziwu godna rzecz.

Naród ten stworzył swe państwo bez jakiegokolwiek działania wojennych. Na ziemi jego nie została wylana ani jedna kropla krwi słowackiej. Słowak nie zabił też u siebie ani jednego Czecha, ani Żyda, ani Węgra, ani Rusina, ani Niemca. Wszystkie mniejszości żyjące w Słowacji uznały spokojnie prawo narodu słowackiego do jego terytorium. W ślad za tym poszli też wszyscy sąsiedzi Słowacji. Węgry uznały państwo słowackie 15 marca 1939, Polska 16 marca 1939, Niemcy 17 marca 1939. Następnie uznał Słowację za państwo niezależne: Słowacja Święta 25 marca 1939, Włochy 11 kwietnia 1939, Szwajcaria 19 kwietnia 1939, Hiszpania 25 kwietnia 1939, Wielka Brytania 4 maja 1939 (de facto), Jugostawia 16 czerwca 1939, Rumunia 14 lipca 1939, ZSRR 16 września 1939 id.

Zresztą, kto by nie chciał przyznać narodowi prawa do jego własnego i niezawisłego życia? Celem każdego narodu jest: mieć swoje własne państwo i postarać się, by je i inne uznał. Słowacy byli w tym szczęśliwym położeniu, że wszystkie narody Europy (ponadto wiele państw amerykańskich jak np. Ekwador, Kostaryka i in.) przyznały do prawa również narodowi słow-

wackiemu. Swym niezależaniem się nie komu Słowacy krzywdy nie wyrządzili.

Jedną tylko mają oni winę, iż kraj swój oddali pod opiekę Adolfa Hitlera. Powie ktoś: zrobili głupstwo! „Głupi jest — powiada Adam Mickiewicz — kto w czasie burzliwym, kiedy chmury z piorunami ciągną, ucieka się pod opiekę dębów wielkich”.

Rzeczywiście dąb niemiecki był wielki. Słowacy zaś byli mali. Ale w marcu 1939 przewodzili w Londynie Chamberlain a w Paryżu Daladier. Horyzont polityki europejskiej zaczął się chmurami i czas był burzliwy. W środkowej zaś Europie pocieszano się tak samo jak i w Londynie i Paryżu, że z tej chmury ani burzy, ani piorunów nie będzie. By temu zapobiec, wystarczyć — parasol Chamberlaina. Czy więc trzeba dziwić się Słowakom, że nie wykazali większego rozumu od Chamberlaina i Daladiera, że nie byli bardziej przewidu-



Ks. Andrzej Hlinka, zmarły przywódca duchowy Słowacji

jący aniżeli ci, co reprezentowali i robili politykę europejską a nawet światową?

Stąd to: Tout comprendre c'est tout pardonner.*

Należy wybaczyć fakt, że Słowacy zawarli umowę z Niemcami, mającą na celu zabezpieczenie ich państwa. A i to również, że przy kołycie państwa słowackiego stał Adolf Hitler i że jemu Słowacy pomagali. Hitlerowi jednak pomagało wiele narodów. Czy nie wspierali go Austriacy i Węgrzy? Czy mu swoich wojsk nie posyłał Rumuni, a czy nie dostarczali mu ochotników Hiszpanie, Belgowie, Chorwaci? Czy czeskie wojsko z Protektoratu nie przyszło Hitlerowi z pomocą do północnych Włoch? Czy wtenczas wszystkie narody europejskie — a Czesi najwięcej, nie strajkując ani sabotując — nie wspierały Hitlera różnymiśmi lub też przyniesiemy przed pracą w fabrykach i kopalniach?

Mając zaś na uwadze, że pomiędzy wszystkimi narodami słowackiej jest najmniejszą, przynajmniej, iż jego pomoc dla Adolfa Hitlera była również mało znacząca — tak na frontach, jak też i w fabrykach, jeśli idzie o przemysł wojenny.

Samorządnie więc wyłania się kwestia, dlaczegoż zatem Słowacy za najmniejszą pomoc mają najwięcej cierpieć i dlatego nabyli być: zniszczone państwo słowackie, kiedy nikt nie myśli niszczyć państwa austriackiego, czeskiego, węgierskiego czy rumuńskiego?

Chyba więc tylko dlatego miałyby zniknąć z powierzchni ziemi naród słowacki, że przy narodzinach państwa słowackiego akuszercem był Adolf Hitler?

Taki to już niesłaby los małych państw! Zawsze ktoś stał przy ich kołycie. Samo przez się, w naszymi siłami nigdy nie powstało żadne małe państwo.

Zwróćmy tylko nieco uwagi: przy kołycie obecnego państwa Watykańskiego stał Benito Mussolini. Jego podziw widnieje na umowie, która jest podstawą istnienia watykańskiego państwa. Przy narodzeniu się Bułgarii i Grecji był obecny car rosyjski. Przykładów można by przytoczyć jeszcze więcej.

Czy więc obecnie, kiedy Mussolini upadł, ma również upaść: państwo Watykańskie? Czy zniknąłby z karty Europy Bułgaria i

Grecja z chwilą, kiedy zniknął car rosyjski? Byłaby to niesprawiedliwość.

Nie to więc rozstrzyga, kto stał przy kołycie małego państwa. Główną rzeczą jest, czy dane państwo jest zdolne do samostannożycia, czy też nie. Czy zabezpiecza swemu obywatelowi lepszy byt od poprzedniego, czy nie.

Tu tkwi istota zagadnienia. A odpowiedź na nie Słowacy w sposób nie budzący najmniejszych wątpliwości. Rzeczywiście na południe od Tatr dokonali się podziwu godne rzeczy, tak jak to powiedział Feliks Koneczny. Faktem jest, że państwo słowackie żyje własnym wysoce kulturalnym życiem mimo wojny i ucisku niemieckiego. Co miesiąc od r. 1939 drukuje się na Słowacji przeciętnie 61 ksiązek, to znaczy, że codziennie ukazują się dwie nowe książki. Kiedy o tym fakcie dowiedział się szwajcarski pisarz William Ritter, wielki przyjaciel Czechów i byłej Czechosłowacji, nie wahał się napisać jasno i otwarcie:

„Republika Słowacka święci piątą rocznicę swej niepodległości. Jeśli sądzić o drzewie według jego owoców, jesteśmy zmuszeni stwierdzić, że ta niepodległość wydoje się zupełnie niezgodną. Wystarczy w tym celu zobaczyć zadiwiający i nagły rozwój intelektualny w tym kraju, podczas trwania wojny i wśród trudności wszelkiego rodzaju, wywołanych sytuacją europejską. Rozkwit ten następuje w kraju, który pod rządami węgierskimi tworzył bardo niewolce, a którego twórczość pod rządami czeskiemi wydawała się całkowicie pochłonięta przez literaturę, sztukę pięknie i muzykę Pragi. Można powiedzieć, że niejako od wczoraj cały ten kraj samorzutnie owocuje. Trudno uwierzyć, wiele się drukuje wszelkiego rodzaju książek słowackich miesięcznie”.

(William Ritter, „Gazette de Lausanne”, 4 marca 1944 r.)

Takie świadectwo o kulturze słowackiej wydaje coby człowiek.

A jak przedstawia się tam położenie gospodarcze?

W ciągu ostatnich pięciu lat wydobyto na Słowacji 1.328 kg złota, 38.992 kg srebra, 29.173 kg ołowiu, 466.033 kg soli i 1.280.123 kg nafty. W tym samym czasie pokryto asfaltem 1.701 km autostrad i zrobiono 280 km całkowicie nowych dróg. Ponadto wydłużono sieć kolejową o 102 km, a na długości 113 km położono podtorze torów. Słowacja eksportowała w r. 1943 towarów za 4.701 milionów Ks. (1 Fr. sz. równa się 6,70 koron słowackich; 1 L. równa się 28 Ks.), importowała zaś towarów za 4.787 milionów Ks. Długość sieci telefonicznej na Słowacji wynosi dzisiaj 43.930 km. W r. 1939 miała Słowacja 77.000 aparatów radiowych, dzisiaj zaś ma ich 139.000 i trzy siłowe stacje nadawcze.

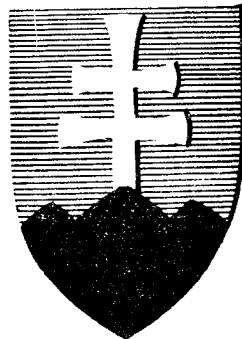
Położenie materialne ludu znacznie się też poprawiło. Na Słowacji nie ma bezrobotnych. Słowacy zajęli wszystkie stanowiska w państwowym służbie, które do roku 1939 w 60 — 75 proc. okupowali Czesi.

Alie Słowak, nawet gdy się znalazł w materialnie lepszym położeniu, pozostał i nadal wierzącym i ofiarnym katolikiem. Od 2.173.545 katolików słowackich otrzymała Stołica Święta w r. 1943 sumę 4.297.833 Ks na misje katolickie. Przeliczywszy to na liry włoskie otrzymamy 17.191.332 lirów (1 Ks. równa się 4 L. wł.). W roku 1944 przekazali katolicy słowacy na ręce Ojca św. 1.672.736 Ks. (6.690.944 L. wł.) celem przyjęcia z pomocą ofiarom obecnej wojny. Nie wspomina tu już o rekolekcyjach dla młodzieży, ludu i inteligencji, o przykładnym życiu katolickim olbrzymiej większości Słowaków. Ojciec św., bardzo dobrze poinformowany o podziwu godnej sytuacji katolickim na Słowacji, zamianował w obecnym roku pierwszego arcybiskupa Słowaka, Karola Kmetkę, ordynariusza w Nitrze. Jest to pierwszy arcybiskup Słowak w tysiącletniej historii Słowacji.

Słowacy posiadają dzisiaj swój własny uniwersytet i politechnikę z 5.200 słuchaczami. Do r. 1939 miała Słowacja zaledwie jednego Słowaka profesorem na Uniwersytecie Bratysławskim. Wszyscy inni byli Czesi. Politechnikę można było otworzyć na Słowacji dopiero po r. 1939.

W słowackich szkołach średnich, gdzie do r. 1939 było 57 proc. nauczycieli czeskich, są dziś nauczycielami jedynie Słowacy.

Słowacja ma swój Narodowy Teatr, gdzie od pięciu lat wystawia się sztuki i opery jedynie po słowacku. Ponadto wybudowało



Godło Republiki Słowackiej

państwo stałe teatry w Nitrze, Turcazańskim Sw Marcynie i Preszowie.

Słowacja ma swe dyplomatyczne i konsularne misje we wszystkich główniejszych miastach Europy.

Słowacja nie mając do r. 1939 ani jednego pułku słowackiego, ani własnej komendy, bo i ta była po czesku, posiada obecnie dobrze zorganizowaną armię z własną komendą, własnymi generałami. Ma też swoją wojskową szkołę realną (dla wojskowych od 4 kl. szkoły średniej) i swoją Akademię Wojskową (dla wojskowych absolwentów szkoły średniej).

Feliks Koneczny w r. 1907 powiedział za prawdę: „W przyszłości świat będzie bardziej zadiwiony jeszcze szybszym postępem Słowaków”.

Nie zapominajmy też i dalszych słów Konecznego: „Przez tę Słowację prowadzi polska droga na południe. Konsolidacji w środkowej Europie dokona ten tylko, komu Słowacy zaufają”.

Komu zaś ufają Słowacy? Czy może Węgrom, Czechom lub też Niemcom? Wobec tych wszystkich osłennych państw utrzymują Słowacy poprawne stosunki rozumnego sąsiedztwa. Madziarzy przez 1000 lat mieli Słowaków w granicach swego państwa. Co zaś osiągnęli? Mimo tysiąca lat wspólnej historii, mylili się, kto by oczekiwał, że Słowacy zechcą wrócić pod panowanie węgierskie. Ale mylą się też i Czesi, sądząc, że Słowacy ku nim się zbliży, bo przez dwadzieścia lat młm wspólną z nimi republiką. Tysiącletnie prawie doświadczenie z Węgrami a dwudziestoletnie z Czechami pozwoliło poznać oba te narody z ich dobrej ale też i złej strony. Na punkcie uznania niezawisłości słowackiego narodu tak Węgrzy jak też i Czesi popełnili jednakowy błąd: nie uznali Słowaków za naród. Madziarzy włączyli ich do „narodu czechosłowackiego”, Czesi zaś do „narodu czechosłowackiego”. Postąpili zaś tak dlatego, by nie przyznać praw narodowi, który — wedle nich — nie istnieje.

Trzecim sąsiadem Słowacji są Niemcy. Ani językiem, ani mentalnością nie zbliżają się oni do Słowaków. Ani duch pruski, ani też hitlerowski nacjonal - socjalizm Słowakom nigdy nie imponował. Zatem również i Niemcy nie cieszą się zaufaniem Słowaków.

Inaczej przedstawia się sprawa z Polakami. Słowacy zawsze im ufali, bo też oni tylko uznali, że Słowacy są narodem odrębnym i niezawisłym. Duch Feliksa Konecznego żyje w Polakach jeszcze i dzisiaj. Przypomnę, co pisał krakowski „Czas” w jednym ze swych artykułów w r. 1922:

„Nie ma Polaka, który by zaprzeczał Słowakom prawa uważania się za samodzielną naród. My Polacy — pisał „Czas” — staliśmy zawsze na stanowisku, że Słowacy są narodem odrębnym od Czechów i że mają prawo do niezawisłości politycznej i kulturalnego rozwoju”.

„Myśmy za te słowa — odpowiedział ks. prał. Andrzej Hlinka w swym „Słowaku”, 22 stycznia 1922 — Polakom bardzo wdzięczni. Polacy są naszymi pobratymcami nie w mniejszej mierze aniżeli Czesi. Owszem chrześcijaństwo - katolicka mentalność Polaków jest nam o wiele bliższa aniżeli czeski hustyzm, niewiarą, „postępowość” i „eretyczny materializm”.

(Dokończony art. na str. 3)

* Wszystko zrozumieć, wszystko wybaczyć.

ARP.

STARZYŃSKI CZY HACHA?

W przededniu kryzysu światowego w r. 1930 Polska miała do wyboru dwie drogi: albo pójść za przykładem czeskim i uwzględnić niedostateczność swych sił zgodzić się na układy z przemocą niemiecką, albo też wybrać walkę bez względu na następstwa. Wybraliśmy drogę drugą, odpowiadającą charakterowi narodu, zgodną z jego jasno wyrażoną wolą i racją stanu.

Decyzję tę potwierdziliśmy dwukrotnie w czasie wojny: nie ustając w walce po klęsce wrześniowej, kiedy podjęliśmy organizację oporu we Francji, i po klęsce francuskiej, kiedy stanęliśmy przy boku osamotnionej wówczas W. Brytanii. Gdy wybuchła wojna rosyjsko - niemiecka w r. 1941 nie ogłosiliśmy neutralności, opowiedzieliśmy się znowu po stronie Rosji. Wreszcie przez cały ten czas organizowaliśmy opór kraju tworząc armię podziemną, której powierzane są wyjątkowo ryzykowne zadania. A zatem kraj cały oraz wszystkie jego siły zbrojne przez lat pięć nie ustawały w walce, prowadzonej nieraz w warunkach tragicznych. Nie było, zdaje się, w dziejach naszych tak powszechnego wysiłku, tak wielkich ofiar, takiego rozlewu krwi, takich przykładów bohaterstwa i samozaparcia. Było to wyzwanie racjonalistycznym poglądom na świat i przyziemnym kalkulacjom, opartym na materializmie.

Jeżeli wszakże naród nasz postanowił tak się zachować w tej wojnie, jeżeli tak stanowczo odrzucił kilkakrotnie wzór czeski (Czesi nawet dziś — mimo paktu z Rosją — są bardzo wstrętniżliwi w urzędaniu powstań w kraju), to nie dla samej satysfakcji bicia się z najeźdźcą i wyrwania nań odwetu, lecz by poprzez walkę dojść do jasno zarysowanych celów politycznych. Nie uważaliśmy, by cele te mogły być osiągnięte drogą kapitulacji, kompromisu czy ugody. Jako zmierzające do stałego zabezpieczenia całości i niepodległości państwa, mogły być one w pojęciu narodu naszego tylko z dobyte w walce. Byliśmy i jesteśmy jak najdalej od dążeń imperialistycznych, ale uważaliśmy, że w czasach, które idą, naród nie zamierzający umierać musi zajmować postawę zdecydowaną w wszystkich odcinkach i wyrażaną wszystkimi możliwymi sposobami. Przejawem zdobywczej postawy narodu było jego zachowanie się bojowe na wszystkich niemal frontach europejskich. Wyra-

zem tej postawy była nieugięta odmowa kraju pójścia na jakiegokolwiek układy z okupantami. Wyrazem tejże postawy winna była być w tej wojnie — w rozumieniu narodu, a zwłaszcza tych, którzy walkę prowadzili — zdobywcza polityka nasza na terenie międzynarodowym. Zdobywcza — to znaczy odważna, to znaczy nie rezygnacyjna, nie kapitulacyjna, nie ugodowa, ale walcząca o prawa Polski tak twardo i tak nieraz wbrew wszystkim, jak potrafili — nie walcząc żołnierze polscy w kraju, czy za granicą.

W postawie narodu czy państwa nie może być dwutorowości. Naród pod bronią nie może obrać dla siebie linii zdobywczej, a polityka ogólna linii ugody i rezygnacji. Nie można na jednym odcinku kroczyć szlakiem polskim, a na drugim — czeskim. Nie można wzorować się jednocześnie, powiedzmy, na Starzyńskim i na Hasze. Trzeba wybierać. A skoro wybrało się drogą walki, skoro w jej imieniu domagano się,

nępy czasy, kiedy dyplomaci uważali się za międzynarodowych techników wynajmujących swoje talenty to tym, to innym monarchom. Minęły również czasy wojsk najemnych. Żołnierz, który zanicha służby dla idei swego państwa, a za pieniądze wynajmuje swe sily obcym interesom przestaje być żołnierzem, a staje się najemnikiem lub kondotierem. To samo wszakże można powiedzieć o politykach.

Zadaniem ich nie jest tylko mniej lub więcej umiejętnie obracanie się w warunkach stwarzanych przez obcych, ale dążenie do wytworzenia warunków przez siebie i prowadzenie uporczywej walki nieraz wbrew wszystkim o urzeczywistnienie własnych celów, idei narodu i państwa.

Oczywiście łatwiej prowadzić taką politykę będąc silnym. Trudniej, gdy jest się słabym. Będem wszakże byłoby sugestionować się naszą przejściową i stosunkową słabością, będąc jeszcze większym przypuszczając, że w naszej sytuacji trzeba wy-

szereżyć do administrowania na uwolnionych przez Rosjan terenach. Sześć zaś tego rządu zmuszony jest do wypraw w upokarzające warunkach do Moskwy, gdzie usiłuje wyjednać jakieś miejsce dla siebie i dla pozorów legalności polskiej u zwolenników Wandy Wasilewskiej, której organizację uznał poprzednio za nielegalną. Podczas gdy Francja jest już niemal pewna, że wyjdzie z tej wojny terytorialnie nie uszczuplona — my tracimy mamy połowę państwa. Podczas gdy jej sprawy graniczne załatwione będą na jej korzyść z jej udziałem — nasze zamierza się rozstrzygnąć na naszą niekorzyść w formie dyktatu. Wreszcie, gdy mocarstwa anglosaskie dopuściły już Rosjan do omawiania spraw nadreńskich, nie nie słychać, aby Rosja dopuściła Anglosasów do omawiania zagadnień związanych ze stosunkami Polski z jej sąsiadami. Nie też nie słychać, aby w uwolnionych terenach Polski powstawały międzynarodowe komisje, lub by do naszej armii krajowej wysłano wojskowe misje sojusznicze, choćby takie, jakie skierowano do marsz. Tito.

W porównaniu z Polską los Francji kształtuje się pomyślnie. Oczywiście, jej położenie ogólne jest lepsze od naszego. Nie leży nad Bałtykiem, ale nad Atlantykiem. Ma tylko jednego groźnego sąsiada — Niemcy. Za to jednak obciążona jest potężnym rządem Wichy, a my nie mamy quislinga. Ale mimo to kontrast między osiągnięciami francuskimi a naszymi rzuca się w oczy.

Czemu Francuzi zawiązują swe sukcesy? Czy są od nas układniejsi, grzeczniejsi, bardziej usuwający się w cień, bardziej jeszcze kompromisowi? Wydzaje się, że jest wręcz przeciwnie. Premier Churchill w mowie, w której malował różową przyszłość Francji, wspominał, że miał „wiele nieporozumień” z gen. de Gaulle, ale to nie przeszkodziło w osiągnięciu przez Francję sukcesów.

Wyznanie to rozwiela ostatecznie publiczną tajemnicę stosunków de Gaulle z wielkimi sojusznikami. Stosunki te nie były ani gładkie, ani słodkie. Były nieraz napięte do najwyższego stopnia. Gen. de Gaulle potrafił być nieznośny, gdy walczył o prawa swoje i swego kraju. Przeciwił się twardo i uporczywie wielkim aliantom, gdy chodziło o obronę suwerenności, godności i wielkości Francji. Postępował tak, gdy był znacznie słabszy niż jest obecnie, gdy nie nie reprezentował, gdy znał tam mniej niż my — Polacy. Gen. de Gaulle był respektowany w Londynie — nie można było nie zarzucić jego oddaniu dla sprawy sojuszniczej — ale czy był lubiany? Polemiki z nim prasy brytyjskiej nie należały do najprzejmniejszych. Jeszcze bardziej niepopularem był w Waszyngtonie, gdzie dopiero przed paru tygodniami przybył z pierwszą wizytą, witany za to z najwyższymi honorami. Gen. de Gaulle potrafił bowiem w końcu narzucić swą indywidualność oraz indywidualność swej polityki zarówno przyjaciółom, jak i przeciwnikom. Musiano się z nim liczyć i liczyć się z nim będą coraz więcej.

Jeden z dziennikarzy szwajcarskich Rene Payot wystąpił z uwagą, którą cytujemy według „La Marseillaise”:

„Churchill wyraził się, że trudno jest rokować z gen. de Gaulle. W polityce jednak nie jest zawsze błędem posiadać trudny charakter. Lepiej mieć charakter przykry niż nie posiadać charakteru w ogóle”.

Polityka bez charakteru jest na pewno najmniej realną polityką, jaką sobie można wyobrazić. Tak było zawsze, a tym bardziej w obecnych czasach i w polskich warunkach, gdy wszystko rzucać się na jedną kartę. Ani heroiczna postawa kraju, ani duma żołnierza polskiego nie dają podstaw do prowadzenia polityki bez charakteru, lub do wyrażania zgody na upokorzenia, których naród nie mógłby znieść i zrozumieć. Naród wybrał drogę Starzyńskiego, a nie Hacha. Chodzi wszakże o to, by z decyzji tej wyciągane były następstwa, tak jak to w swoich posunięciach czyni konsekwentnie gen. de Gaulle. Jeżeli konsekwencji tej nie będzie, jeżeli między nami — a czynem nie będzie harmonii, spotykac nas będą klęski bolesne, a co gorzej nie zasłużone. Świat nieraz już zastanawiał się, dlaczego naród, który tak się bije, który trwa w walce w sposób tak niezłomny, traktowany jest bądź tak lekko, bądź tak krzywdząco. Nie całą winę, nieścisły, możemy składać za stan ten na obcych.



W Wysokich Tatrach (do art. na str. 2.)

szlusznie przesądzić, największych wysiłków i od żołnierzy i od kraju, skoro kraj ten wzywano do boju w warunkach wręcz szaleńskich wiedząc na jakie naraża się go konsekwencje, należało postawę walki przyjąć również na wszystkich innych odcinkach — a więc także w polityce ogólnej. W przeciwnym razie bowiem musiałby utworzyć się w życiu naszym wewnętrzny stan fałszywa i dwuznaczna. Musiałby powstać dualizm, grożący najgorszymi następstwami.

Słyszyszysz wszakże głosy, że zadaniem polityki nie jest osiągnięcie rzeczy nieosiągalnych. Wypowiadane jest zdanie, że polityka musi liczyć się z rzeczywistością i obracać się w ramach tej rzeczywistości. W przeciwnym razie staje się donkiszoteria, fantazja, mrzonką — ale nie polityką.

Oczywiście z rzeczywistością liczyć się należy, ale nie można jej ulegać. Gdyby żołnierze nasie poddawali się rzeczywistości, musieliby we wrześniu 1939 r. broń złożyć, rozebrać się do wyznaczonych przez Niemców domostw w general - gubernatorstwie, a przez Rosjan w głębokiej Rosji i tam posłusznie pracować dla dobra III Rzeszy lub Sowietów nie mieszając się do dalszej walki. To się nie stało. A jeżeli się nie stało, postawa buntu przeciw wrogiem nam rzeczywistości musi obowiązywać nas również w polityce, dopóki rzeczywistość ta nie stanie się zgodna z naszą wolą.

Dyplomacja nie jest sztuką dla siebie, ale stoi na usługach idei swego państwa. Mi-

rzec się zdania własnego i dostosowywać się wyłącznie do zdań cudzych. Nigdzie nie jest powiedziane, że w życiu osiąga się największe korzyści nie narażając się nikomu. Przeciwnie, doświadczenie nas uczy, że życie jest jednym pasmem walki i że największe powodzenie odnosi ci, którzy walczyć umieli, oczywiście w sposób rozumny, ale i zdecydowany.

Piszemy to z różnych powodów, ale również dlatego, że premier Churchill w ostatniej mowie — w której błogosławił podróż p. gen. de Gaulle i o układach, które z nim zawarła W. Brytania i Stany Zjednoczone. W układach tych gen. de Gaulle osiągnął to, co chciał. Choć nie został jeszcze uznany przez oba mocarstwa anglosaskie za szefa rządu francuskiego, faktycznie jednak on będzie rządził na odzyskanych terenach Francji. Co więcej, premier Churchill zapowiedział, że po wojnie rozpatrzone będą na nowo stosunki francusko - niemieckie w duchu przyjaznym dla Francji oraz że sprawy nadreńskie załatwione będą wspólnie przez W. Brytanię, St. Zjednoczone, Rosję sowiecką i Francję.

A teraz porównajmy z tymi pogodnymi perspektywami, które uzyskuje gen. de Gaulle — położenie nasze. Rząd polski w Londynie choć jest legalny, uznany nie był, to przez W. Brytanię i Stany Zjednoczone, ale przez wszystkie narody sprzymierzone (za wyjątkiem Rosji) i przez wszystkie niemal państwa neutralne, nie jest dopu-

Z LITERATURY SŁOWACKIEJ

SAMO CHALUPKA

(1812-1883)

Wije wicher, wije...

Wije wicher, wije od Tatr do Dunaju,
Smutne głosy idą po słowackim kraju.
Po słowackim kraju jakie wstąpią,
Nie wrócę te czasy, skoro już przemiją.
Czasy nasze, czasy, czasy situaty ataryj.
Gdy nad Nitru wiały słowackie sztandary.
Hej, Nitru, etoty tron króla Svatopluka,
Gdy o nim pomyśle, serce głośniejsze stuka.
Dyleżemy byli między narodami,
Jako ten usach Krywań nad tymi Tatrami.

Stoi jeszcze, stoi Krywań nad Tatrami,
Będzie Słowak, czym był między narodami.

Tłum. Roman Zawiliński

(Dokończenie art. ze str. 2.)

Po zakończeniu tej wojny zobaczy świat na południe od Tatr nowe, podziwu godne rzeczy. Z chwilą ustania niemieckiego ucisku, Słowacy, jak jeden mąż, oświadczają się za orientację polską. Dlaczego? Albowiem ona tylko jedna daje gwarancję, iż dzięki Polakom, Słowacy będą mogli zachować prawo „do uważania się za samodzielną nację” i prawo „do niezawisłości politycznej i kulturalnego rozwoju”. Ścisła łączność Polaków ze Słowakami jest pewnym kamieniem węgielnym w budowie powojennej Europy. Polska będzie silna, kiedy oprze się o Bałtyk i słowacki Dunaj. Droga polska na południe prowadzi przez Słowację — pisali Feliks Konecny. Potrzebne są słowackie sympatie i słowackie zaufanie. Polacy mają u Słowaków jedno i drugie.

Czas więc realizować to, co na polskiej wyrosto głębie, nadawać realne kształty przagnieniom i myślom polskich ludzi. Trzeba, by definitywnie zabezpieczyć pokój Polski i Europy. Ku temu zaś nieodzowne jest jedno: aby temu, kto w Europie środkowej pragnie dokończyć dzieła pokoju i bezpieczeństwa, Słowacy całkowicie zawierzyli. „Słowacy — podkreśla Konecny — zajmują takie położenie etnograficzne, że nam Polakom musi bardzo zależeć na ich sympatiach”. Te zaś sympatie Polacy u Słowaków mieli i mają. Spełniają się tu słowa pieśni słowackiej: „Jako góry z dolinami, tak Polacy z Słowakami”. Jest to prawda. W łączności i zjednoczeniu Polaków ze Słowakami znajdują zabezpieczenie i pozostałe narody środkowej Europy, a ponadto wzór europejskiej i chrześcijańskiej solidarności.

Wojsko polskie, walczące dzisiaj w Italii, niech pomnie będzie na słowa hymnu narodowego: „Marsz, marsz Dąbrowski, z ziemi włoskiej do Polski”, a przy tym niech pamięta, że droga do Polski z południa prowadzi również przez Słowację, która czeka na polską armię z otwartymi rękoma i wielką braterską ufnością.

Martin Huska

CURZIO MALAPARTE

SZCZURY

Rozpoczynamy druk dotyczących Polski, rozdziałów z mającej się wkrótce ukazać pod tytułem książki głoszącego słynnego publicysty p. Curzio Malaparte w przekładzie p. A. Z. Autor bawił w Polsce w czasie wojny polsko-bolszewickiej w 1920 r., a ponownie ją odwiedził pod okupacją niemiecką w r. 1942. Jako publicysta kraju sprzymierzonego wówczas z Niemcami Autor miał możliwość zetknięcia się z wielkimi osobistościami hierarchii nazistowskiej, które plastycznie charakteryzują.

IV God have the King*)

„Jestem Królem: der Koenig”, rzekł Reichsminister Frank, generalny gubernator Polski, wyciągając ramiona i obrzucając zaproszonych wzrokiem pełnym dumy i zadowolenia.

Spojrzałem na niego i uśmiechnąłem się. „Niemieckim Królem Polski, der deutsche Koenig von Polen”, powtórzył Frank.

Patrzyłem na niego i uśmiechałem się. „Czemu się pan uśmiecha? Czy nigdy nie widział pan króla?”, zapytał.

„Z wieloma królami rozmawiałem, u wielu królów bywałem na obiedzie w ich palacach i zamkach — odpartem — ale nigdy żaden z nich nie powiedział mi: „Jestem królem”.

„Sie sind ein enfant gate”,**) wtrąciła wdziewnie Frau Brigitte Frank, die deutsche Koenigin von Polen.**)

„Ma pan rację, odpowiedział Frank, prawdziwy król nie mówi nigdy: „Jestem królem”. Ale ja nie jestem prawdziwym królem, chociaż moji przyjaciele w Berlinie nazywają Polskę Frankreich. Mam prawo życia i śmierci nad polskim narodem, ale nie jestem królem Polski. Traktuję Polaków z królewską dobrocią i współczynnymi, ale nie jestem prawdziwym królem. Polacy nie godzą się, żeby mieć króla takiego, jak ja. Są narodem niewdzięcznym”.

„Nie są narodem niewdzięcznym”, przerwał.

„Byłbym najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi, czuliśmy się naprawdę, jak Gott in Frankreich, gdyby Polacy okazali mi wdzięczność za wszystko, co dla nich robię. Ale im bardziej staram się użyć ich nieszczytów, i postępować z nimi sprawiedliwie, tym w większej pogardzie mają dobro, jakie wyświadczam ich ojczyźnie. Są narodem niewdzięcznym”.

Szmer potakiwania przebiegł po ustach współbiesiadników.

„Są narodem pełnym dumy i godności, rzekłem z uprzejmym uśmiechem, pan zaś jest ich władcą. Władcą obeyam”.

„Władcą niemieckim. Oni nie zastępują na ten zaszczyt, żeby mieć władcę niemieckiego”.

„Istotnie, nie zasługują. Szkoda, że nie jest pan Polakiem”.

„Ja schade!”, wykrzyknął Frank, wybuchając wesołym śmiechem, któremu głośnym echem odpowiedzieli zaproszeni. Nagle Frank przestał się śmiać i przeysnął ręce do pierś: „Polakiem? — zapytał — niech pan na mnie spojrzy: jakże ja bym mógł być Polakiem? podobny jestem może do Polaka?”

„Jest pan katolikiem, prawda?”

„Tak, odpowiedział Frank trochę zaskoczony, jestem Niemcem z Frankonii”.

„A zatem katolikiem”, rzekłem.

„Tak, niemieckim katolikiem”.

„Ma więc pan coś wspólnego z Polakami. Wszyscy katolicy są sobie równi. I pan powinien, jako dobry, katolik, uważać się za równego Polakom”.

„Coż z tego, że jestem katolikiem, i to do dobrym katolikiem, rzekł Frank. Myśli pan, że to wystarczy? Moi współpracownicy również są katolikami, wszyscy pochodzą ze starej Austrii. Ale sądzi pan, że wystarczy być katolikiem, żeby móc rządzić Polską? Nie ma pan pojęcia, jak może być trudno rządzić narodem katolikiem”.

„Nigdy jeszcze nie próbowałem”, powiedziałem z uśmiechem.

„Niech się pan strzeże! Tym bardziej — dodał Frank pochylając się nad stołem i mówiąc głosem zniżonym, tajemniczo — tym bardziej, że w Polsce trzeba się na każdym kroku liczyć z Watykańem. Czy wie pan, kto stoi za plecami każdego Polaka?”

„Polski ksiądz”, odpartem.

„Nie, ciagnął Frank, Papież. Ojciec Święty wie własną osobie”.

„To musi być raczej nieprzyjemne”, zauważyłem.

„Prawda też, że za moimi plecami stoi Hitler, ale to nie to samo”.

„A nie, to nie to samo”, przytaknąłem.

„Czy i za plecami każdego Włocha jest Ojciec Święty?”, zapytał Frank.

„Włosi, odrzekłem, nie chcą mieć nikogo za plecami”.

„Ach so! Wykrzyknął Frank z śmiechem, ach so!”.

„Sie sind ein enfant terrible!”. Wtrąciła wdziewnie Królowa Polski.

„Ciekawy jestem, zaczął na nowo Frank, jak sobie Mussolini daje radę, żeby żyć w zgodzie z Papieżem”.

„Pomiędzy Mussolinim i Papieżem, powiedziałem, nie obeszło się początkowo bez poważnych trudności. Obaj zamieszkują to samo miasto i obaj uważają się za nieomylnych: było więc rzeczą nieuniknioną, że musieli dojść do starcia. W końcu się jednak porozumieli i obecnie wszystko idzie ku ogólnemu zadowoleniu. Kiedy się rodzi mały Włoch, Mussolini bierze go pod swoją opiekę: najpierw powierza go ochrone, potem go posyła do szkoły, następnie uczy go zawodu, wreszcie zapisuje go do partii faszystowskiej i każe mu pracować aż do lat dwudziestu. W dwudziestym roku życia powołuje go pod broń, trzyma go dwa lata w koszarach, po czym go zwalnia, każe mu pracować na nowo, a zaledwie jest pełnoletni, daje mu żonę: jeżeli urodzą się dzieci, powtarza z nimi to samo, co już był robił z ojcem. Kiedy następnie postarząwszy się

„Jest to prawie człowiek”, odpowiedziałem.

„Jakto?”

„Prawie człowiek, czyli nie człowiek w zwykłym słowa znaczeniu”.

„Ach so! — rzekł Frank — chce pan powiedzieć Uebermensch, nicht war? (*) Tak, Hitler nie jest człowiekiem w zwykłym słowa znaczeniu. To Uebermensch”.

„Herr Malaparte — odezwał się w tej chwili jeden z zaproszonych, siedzący u końca stołu — mówi w jednej ze swoich książek, że Hitler jest kobietą”.

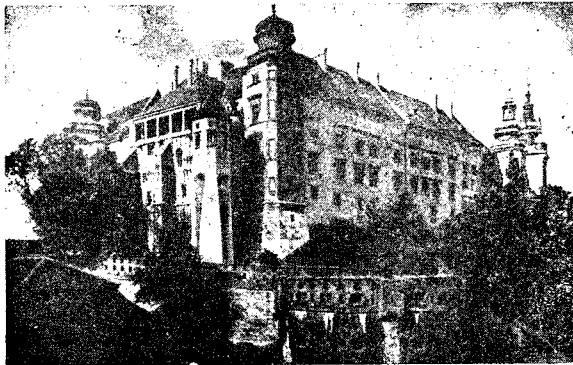
Był to szef Gestapo Generalnego Gubernatorstwa Polski, człowiek Himmlera. Głos jego zimny, tagodny, smutny, przychodził z daleka. Podniosłem oczy, ale nie miałem odwagi spojrzeć. Ten głos zimny, tagodny i smutny, ten głos daleki przypomniał mi o lekkiem dźwięku w zwykłym słownictwie.

„Istotnie, odrzekłem po chwili milczenia, Hitler jest kobietą”.

„Kobietą?” wykrzyknął Frank utkwivszy we mnie wzrok pełen zdumionego niepokojem.

Wszyscy milczeli i patrzyli na mnie.

„Jeśli nie jest człowiekiem w zwykłym znaczeniu słowa — mówiliem — to dła-



Wawel

ojciec nie może pracować i na nie się już więcej nie przydadzą, odsyła go do domu, daje mu pensję i czeka, aż umarł. W końcu zaś, kiedy nareszcie umarł, Mussolini daje go Papieżowi, żeby czynił z nim, co mu się żywnie podoba”.

Niemiecki Król Polski wznosił ręce, zacerwienił się, stał się łzęzowy dusząc się od śmiechu. Wszyscy biesiadnicy wznosili za jego wzorem ręce krzyżując: „Ach! wunderbar! wunderbar!” Wreszcie Frank wypił duży łyk wina i głosem drżącym ze wzruszenia zawołał: „Ach Włosi! Włosi! co za geniusz polityczny! co za sens praw! Szkoda, dodał odzierając się z pota, że nie wszyscy Niemcy są katolikami. To by bardzo uprościło problem religijny w Niemczech: katolików, zaledwie umarł, złóżymy Papieżowi. Ale co z protestantami, komu ich mamy oddać?”

„To jest problem, rzekłem, który Hitler powinien już był od dawna rozwiązać”.

„Zna pan oświadczenie Hitlera?” zapytał Frank na to.

„Nie, nigdy nie miałem tego zaszczytu — odpartem — widziałem go tylko raz, w Berlinie, podczas pogrzebu Todta. Stałem na chodniku, w tłumie”.

„Jakie na pana zrobił wrażenie?” Frank czekał na moją odpowiedź z wyraźną ciekawością.

„Wydawało mi się, że nie bardzo wiedział, komu ma wręczyć zwłoki Todta. Nowy wybuch śmiechu przyjął moje słowa.

„Mogę pana zapewnić — rzekł Frank — że Hitler dawno już problem rozwiązał. Nicht wahr?**) Zwrócił się wesoło do towarzyszy przy stole.

„Ja, ja naturalnie!” zabrzmiło jednogłośnie.

„Hitler jest człowiekiem wyższego rodzaju. Czy i pan nie myśli, że jest on człowiekiem wyższego rodzaju?” Ponieważ się wahałem patrzył na mnie uparcie dorzucając z zachęcającym uśmiechem: „Miło by mi było poznać pana sąd o Hitlerze”.

*) Cudowne, cudowne!

**) Nieprawdaż?

wzrokiem pełnym dumnej satysfakcji. Był szczęśliwy. Ja zaś wiedziałem, że szczęśliwym mogły go być użycie moje słowa. W Berlinie, przed samym wyjazdem moim do Polski, Scheffer w swoim biurze przy Wilhelmplatz dawał mi śmiejąc się przestrogi: „Niech pan się stara uniknąć ironii z Frankiem. To porządny człowiek, ale nie zna się na ironii. A jeżeli już zupełnie nie może się pan powstrzymać, to przynajmniej proszę nie zapomnieć powiedzieć mu, że jest wielkim panem woskiem z epoki renesansu. Wówczas przebaczy panu każdy grzech umysłu.” Rada Scheffera przyszła mi na myśl w odpowiednim momencie.

Siedziałem przy stole Franka, niemieckiego Króla Polski, na wielowym zamku polskich królów, krakowskim Wawelu; naprzeciw mnie siedział Frank na krześle o wysokim, twardej oparciu, jak gdyby na tronie Jagiellonów i Sobieskich i wydawał się szczerze przekonany, że jest uosobieniem wielkich tradycji królewskich i rycerskich Polski. Naivna duma biła mu z twarzy o błądych, nabrzmiałych policzkach, której orli nos nadawał charakter woli pyszałkowej i niepewnej. Włosy czarne i błyszczące, zaczesane w tył, odkrywały wysokie czoło błogości kości stonowej. Było w nim coś starczego i dziecinnego zarazem, w mięsistych wargach, wyduńtych, jak u rozłożonego dziecka, w oczach nieco obrzmiałych, o powiekach grubych i ciężkich, za wielkich może na jego oczy, oraz w tym jego zwyczajnym mrużeniu rzęs, który mu rysował dwie głębokie, proste zmarszczki poprzec skronie. Skórę twarzy pokrywał lekki opar potu, któremu światło wielkich lamp holenderskich i srebrnych świeczników, stojących rzędem na stole, odbijał się w czeskiej kryształach i saskiej porcelanie, kazało błyszczeć, jak gdyby miał twarz przysłoniętą maską z celofanu.

„Jedyną moją ambicją — powiedział opierając ręce o brzeg stołu i odchylając się w tył na oparciu krzesła — jest podnieść lud polski do honoru cywilizacji europejskiej i uczynić z tego kraju bez kultury...”

Ale tutaj przerwał, jak gdyby mu przez myśl przebiegło nagle jakieś podejrzenie i patrzył mi prosto w oczy dorzucał po niemiecku: „Aber... Sie sind ein Freund der Polen, nicht war? *)”

„Och, nein!” zaprzeczyłem.

„Jakto! powtórzył Frank po włosku, nie jest pan przyjacielem Polaków?”

„Nigdy się nie kryłem z moją przyjaźnią dla narodu polskiego”, odpowiedziałem.

Frank utkwiv we mnie wzrok niecierpliwie zdziwiony. Po krótkim zaś milczeniu wolno zapytał: „A więc dlaczego przed chwilą powiedział mi pan, że nie?”

„Odpartem, że nie — mówilem z uśmiechem — dla tej samej niemałej racji, dla której rosyjski robotnik na Ukrainie odpowiadał „nie” oficerowi niemieckiemu. Znajdowałem się we wsi Piesczanka, na Ukrainie, w lecie 1941 roku i pewnego ranka poszedłem zwiędzać wielki kołchoz polski, Kołchoz Worosylowy. Rosjanie opuścili Piesczankę zaledwie dwa dni przedtem. Był to największy i najbogatszy z wszystkich kołchozów, jakie dotąd widziałem. Wszystko zostawiono w największym porządku, ale stajnie i obory stały pustką. W śpiączkach nie znalazłoby się jednego ziarnka, ani w stodółkach jednego łyżka siana. Jedyny koń kulęjąc chodził po podwórzu: stary, kulawy i ślepy.

W głębi podwórza, pod długim dachem, stały rzędem setki maszyn rolniczych, przeważnie wyrobu sowieckiego, sporo węgierskich, inne włoskie, inne jeszcze niemieckie, szwedzkie, amerykańskie. Rosjanie wycofując się nie podpalili kołchozu, nie podłożyli ognia pod dojrzałe zboża, ani też pod gaje stonczników, nie zniszczyli maszyn: zabrali ze sobą traktory, konie, bydło, siano, worki zboża i nasion stoncznikowych. Nie tknęli maszyn rolniczych, ani nawet żniwiarek. Zadowolili się zabraniem traktorów. Robotnik w niebieskim ubraniu naoliwiał wielką żniwiarkę, schylił nad żębatymi kołami. Zatrzymałem się na środku podwórza i przypatrywałem z daleka jego pracy. Naoliwiał swole maszynę, uprawiał w dalszym ciągu swój żądów, jak gdyby wojna była daleko, jak gdyby wojna nie otarła się nigdy o wieś Piesczankę. Po parodniowym deszczu ukazało się słońce, powietrze było ciepłe, błotniste kałuże odbijały bładniebieskie niebo, po którym przepływały białe chmurki.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

*) Pan jest przyjacielem Polaków, nieprawdaż?

*) Nadczołwiek, nieprawdaż?

*) Boże, ogół króla!

**) Pan jest rozpuszczonym dzieckiem.

***) Niemiecka królowa Polski.

JAN ULATOWSKI

— PRÓBA BILANSU —

Choć jeszcze nie lub prawie nie wiadomo o przebiegu, ani o wynikach rozmów moskiewskich, już dziś możliwe jest dokonanie prowizorycznego bilansu wytworzonej przez te rozmowy nowej sytuacji międzynarodowej Polski. Należy bowiem uważać za rzecz bardzo prawdopodobną, że — jakkolwiek byliby prawdziwi starci o doprowadzenie do porozumienia polsko - sowieckiego — od meritum różnym ważniejsze są okoliczności, w jakich one się odbyły. Na tę stronę zagadnienia kładzie główny nacisk Kreml, więc i nam nie wolno tych spraw oceniać z innej strony.

Sytuacja międzynarodowa Polski wyznaczona jest: a) przez pozycję Polski w obozie alianckim, b) przez stosunek Rosji do Polski i c) przez stanowisko Polski w sprawach Międzymorza i organicznego porządku europejskiego. Jeżeli by sojusznicy nasi w pełni przestrzegali wiążących ich z nami umów, jeżeli by Rosja zajęła wobec nas postawę nieagresywną i jeżeli by Polska stała się wyraziście interesów Międzymorza oraz rzecznikiem organicznego porządku europejskiego — moglibyśmy uznać sytuację międzynarodową Polski za zadowalającą.

Przed otwarciem nowego okresu, tj. przed utworzeniem komitetu chełmskiego sytuacja międzynarodowa Polski przedstawiała się jak następująca: 1. wiążące nas z aliancami umowy były już silnie znieszczone licznymi kłamstwami i zastrzeżeniami, formulowanymi w różnych oświadczeniach czynników oficjalnych i prasy alianckiej; z zagadnienia granic Polski uczyniono — wbrew wyraźnemu brzmieniu umów — kwestię otwartą, usiłowano interweniować w sprawy wewnętrzne Polski kwestionując reprezentatywność legalnych władz polskich, odmówiono nam pozytywnej obrony naszych interesów, zagrożono brutalną interwencją jednego ze świątów, ale bardzo silnie od naszych sojuszników uzależnionych mocarstw współwalczących: 2. stosunek Rosji do Polski pozostał wyraźnie wrogi; zerwane z naszym rządem stosunki dyplomatyczne nie zostały przez Sowjety wznowione, istniejące na terenie Rosji czynniki jawnej i bezprawnej interwencji w sprawy wewnętrzne Polski nie zostały zlikwidowane, żądanie rezygnacji z połowy terytorium Polski i usunięcia z naczelnych władz polskich osób, niechętnie widzianych przez Kreml, było ponawiane i to z rosnącą natarczywością; ujawnione na terenach polskich zajęcia przez wojska sowieckie, władze cywilne i wojskowe polskie nie zostały uznane, przeciwnie, stosowano zarówno do nich jak i do miejscowej ludności niezmiernie niesprawiedliwie represje; 3. przekreślony przez pakt Benesz - Stalin plan federacji Środkowo - europejskiej nie został w żadnej formie odmówiony, a tym samym sprawy Międzymorza przestały być obiektem polskiej polityki zagranicznej; dążenie do organicznego porządku europejskiego, tj. do statutu prawnego narodów podobitych przez Niemcy, który zapewniałby im niezależność i samodzielną, nie zostało podjęte; nie uczyniono nie, by przeciwdziałać planowi podziału Europy na strefy wpływów interwenujących mocarstw.

Konkretne osiągnięcia polskiej polityki zagranicznej przed omawianym okresem — osiągnięcia, które tylko przy zdecydowanym zamiarze znieszczenia rzeczywistości mogłyby być nazwane pozytywnymi — wyrażają się w: a) wysunięciu koncepcji „linii demarkacyjnej”, która stanowiła pośrednią próbę dla prób uczynienia ze sprawy granic kwestii otwartej; b) faktycznym przyjęciu oferty „odszkodowań” na Zachodzie, co stanowiło powtórny próbę dla prób uczynienia ze sprawy granic kwestii otwartej i ponadto stworzyło precedens (na który prasa światowa już dziś się powołuje) dla wszelkich prób dowolnego przesuwania granic Polski.

Z takim багаżem weszliśmy w nowy okres, zainaugurowany utworzeniem przez Sowjety chełmskiego „komitetu wyzwolenia narodowego”. Wyrażni zrazu stosunek władz naszych do tego samozwańczego komitetu, sformułowany w słynnym (aczkolwiek źle kolportowanym) komunikacie PATa i w artykułach „Dziennika Polskiego” i „Dziennika Żołnierza” w Londynie zmienił się wkrótce po wyjeździe Naczelnego Wodza z Londynu do tego stopnia, iż nie uznawany przez Moskwę a przez ów „komitet wyzwolenia” za nielegalny uznany rząd polski zdecydował się wyde-

legować czołowych przedstawicieli władz cywilnych do Moskwy w celu przeprowadzenia rozmów zarówno z rządem sowieckim, z którym nie mamy stosunków dyplomatycznych, jak i z „komitetem wyzwolenia”, który co dopiero nazwany został nielegalną i nikogo w Polsce nie reprezentującą grupą uzurpatorów.

Rezultaty tego kroku dały się odczuć natychmiast. W oczach opinii światowej rząd polski w Londynie spadł na skutek tego kroku do roli „przedstawiciela jednej z grup Polaków przebywających na emigracji”, a więc został zrównany ze „Związkiem Patriotów” w Moskwie i z grupą Lange - Orlemański - Tuwim w Nowym Jorku. Chełmski komitet uzurpatorów począł być nagłe traktowany jako instytucja równorzędna z legalnym i przez Wielką Brytanię

oficjalnie nadal uznawanym rządem polskim. Ta nowa perspektywa na sprawy polskie spowodowała też natychmiast wysunięcie w związku ze sporem polsko - sowieckim projektu rozwiązania, opartego na dwóch wzorach: 1. umowy Subasiez - Tito i 2. paktu Benesz - Stalin; pierwszy wzór ma służyć do uregulowania „wewnętrznych spraw Polski”, drugi do uregulowania polskich spraw zagranicznych. Nie potrzebujemy wyjaśniać, jak bardzo plan ten fałszywie rzeczywiście prawną i moralną sytuację Polski.

Omnówione zmiany w sytuacji międzynarodowej Polski nastąpiły w chwili, gdy jeden korpus polski stoi od trzech kwartałów na froncie włoskim odnosząc wspaniałe zwycięstwa i stwarzając wzór postawy żołnierskiej dla wszystkich armii narodów zje-

dnoczonych, gdy drugi korpus polski jest gotowy do udziału w walce na innym froncie, gdy lotnictwo polskie i polska marynarka i reprezentacja walczą u boku aliantów i gdy Armia Krajowa wzrasta swoją działalność bojową stwarzając w Warszawie nowy przykład postawy wojującego o swą wolność narodu.

Polityka zagraniczna, której zadaniem jest budować na realnym wysiłku narodu gmach stosunków międzynarodowych, stanowiąc potwierdzenie tego wysiłku, a nie jego negację — znajduje się w bezsilnej defensywie w chwili, gdy cały naród znajduje się w ofensywie. Polska polityka zagraniczna oddaje — być może — usługi obcym, czyni to jednak z wyraźnym uszczerbkiem interesów polskich.

WŁOCHY POZA ROSYJSKĄ STREFĄ WPŁYWÓW

(Przegląd prasy włoskiej)

Czy Włochy pod rządami p. Bonomiego są państwem wrogiem czy sojusznikiem, niezależnym czy skrupowanym w swoich posunięciach, wolnym czy okupowanym? Zagadnienie jest dość skomplikowane. Stawia je jednak obecnie z całą szczerością, a nawet odwagą prasa włoska domagająca się wyjaśnienia międzynarodowej pozycji Włoch. Wyjaśnienie powinno iść w jej mniemaniu w kierunku uznania Włoch wyzwolonych za kraj sojusznicy z pełnymi z racji tego tytułu prawami. Warto przytoczyć kilka głosów dzienników włoskich na ten temat. Może zastanowią one zwolenników lekkiej taktyki na forum międzynarodowym.

„La Voce Republicanana” z dnia 4 sierpnia w artykule p.n. „Do Prezydenta Roosevelt’a” pisała: „Prezydencie, wysłuchaj dwóch emisariuszy i działaj szybko. Chcemy znów stać się narodem, może biednym i ściśniętym, ale jednak narodem. Więcej niż chleba spragnieni jesteśmy godności osobistej.

Chcemy być sojusznikami a nie współwalczącymi. Chcemy, by rozejm nie wiódł nas do grobu, ale stał się podstawą odrodzenia”.

Organ Akcji Katolickiej „Il Quotidiano” pisał w artykule p.n. „Wyraźne słowa pod adresem sojuszników”: „Jakiej pomocy mogliby oni (sojusznicy anglo-amerykańscy) oczekiwać w dziele odbudowy od kraju, który leżąc w środku Morza Śródziemnego miałby być zniszczony w ramiona rozpacz i głodu mając zniszczony przemysł, zrujnowane rolnictwo, sparaliżowaną sieć komunikacyjną”.

Również niemiełe „krazenie” wywarło w prasie włoskiej oświadczenie burmistrza Nowego Jorku La Guardia, Amerykanina włoskiego pochodzenia, który w dniu 6 sierpnia oznajmił drogą radiową, że zawiesza swe audycje z Ameryki dla Włoch, dopóki nie będzie miał czegoś nowego do oznajmienia. La Guardia powiedział przy tym: „Co czynimy my, Amerykanie, w sprawach włoskich? Uważamy, że nadeszła

chwila, by kwestia włoska została rozwiązana i by narody zjednoczone uznały stanowisko Włoch i zezwoliły na rozpoczęcie przez ten naród odbudowy materialnej, gospodarczej i politycznej. Jesteśmy, czy nie jesteśmy przyjaciółmi? — zapytał La Guardia. Jeżeli nimi jesteśmy, dlaczego tego nie uczynić?”

Prasa włoska podchwyciła te słowa. — „Ricostruzione”, organ Demokratycznej Partii Pracy pisał:

„Przyjaciel nasz La Guardia mówił w sercem włoskim, lecz i z zimnym rozsądkiem Yankesa. Wie on, że wybory Roosevelta wypadają niedługo, że miliony i miliony włoskich Amerykanów, których najlepsze synowie walczą na naszym froncie i na froncie francuskim, patrzą na politykę sprzymierzonych we Włoszech jak na sprzeczaniec Stanów Zjednoczonych i Anglii wobec Europy. Polityka ta będzie poddana pierwszemu osądowi w czasie wyborów prezydenta w listopadzie b.r.”.

Rząd włoski tymczasem, pragnąc zaradzić obecnym trudnościom zwrócił się oficjalnie do rządu amerykańskiego z prośbą o przyznanie Italii prawa korzystania z dobrodziejstw ustawy „Lase and Land”, czyli z kredytów amerykańskich na zaopatrzenie wojenne. Odpowiedź na życzenie to jeszcze nie nadeszła. Don Luigi Sturzo, wódz włoskiej Chrześcijańskiej Demokracji, przebywający na emigracji w Stanach Zjednoczonych, wystąpił z projektem zarzęcia przez sprzymierzonych z Włochami tymczasowego pokoju, lecz nie wydaje się, by inicjatywa ta dała na razie wyniki.

Sytuacja pozostaje bez zmian. Włochy są krajem współwalcącym, lecz bez praw sojusznicy. Żołnierze włoscy bijący się w Korpusie Wyzwolenia spotkali się ostatnio z pochwałą ze strony premiera Churchill, lecz nie słychać, by zamierzano zwiększyć włoskie siły zbrojne walczące po stronie aliantów, choć opinia włoska domaga się tego.

Trzy są zapewne powody opóźniającego uregulowanie sprawy włoskiej: 1. militarne, wynikające z faktu, że Włochy są terenem walk, a zatem sojusznice władze wojskowe muszą mieć tu zupełną swobodę ruchów, 2. całe Włochy nie są jeszcze oswojone, 3. przyczyn politycznych wywodzące się z niedawnego udziału Włoch w wojnie po stronie Niemiec. Czy Italia może być lepiej traktowana niż dajmy na to Francja?

Amerykańskie „Time” stwierdziło: „Czy ma znowu powstać silna Italia? Jako mocarstwo śródziemnomorskie? Można przypuszczać, że Anglia nie życzyłaby sobie tego, a tym bardziej Francja. Rosja wolałaby może silne Włochy, o ile Rzym i Moskwa pozostałyby przyjaciółmi”.

Dowiadujemy się z tego, że Rosja w pewnych warunkach gotowa zająć w stosunku do Włoch inno stanowisko niż Wielka Brytania, Stany Zjednoczone i Francja. Szczególnie światło na tę stronę zagadnienia rzucił sensacyjny wywiad korespondenta „New York Times” z premierem Bonomino. Oto charakterystyczny ustęp wywiadu, według streszczenia prasy włoskiej:

„Odpowiadając na pytanie na temat stosunków rosyjsko-włoskich premier potwierdził wobec wystannika „New York Times” to, co korespondent wiedział już z innych źródeł, że z względu na strategię wytywów, w której znalazły się Włochy, Rosja nie może wywarzać wobec nich żadnych

ŚWIĘTO ŻOŁNIERZA

Dobrze zastąpił sobie Żołnierza Polski w 1944 r. na święto.

Walcząc w Kraju bez mierzenia sił, bez łączności z sojusznikami, bez dostatecznego ekwiapu, bez uznanych przez wroga praw kombatanta, co najgorsza bez pewności, czy jego wysiłki obstawiający jednego zabiorę w walce z drugim kładzie się na szali polskiego zwycięstwa — daje najwyższy wyraz cnotce wojskowej, wirtu militari, wspaniały wzór karności i ofiarności.

Na pięknej ziemi włoskiej wykluwa krok po kroku drogę do ojczyzny krwawiąc się przez długie miesiące bojów, bojów zwycięskich, zyskujących dla polskiego oręża stawę w swoich i obcych.

Na wspaniałych brytyjskich zaprawia się w rzemiosle wojennym czając się do skoku.

Na morzach i w powietrzu od początku wojny daje z siebie wszystko, zaznaczając nieustannie wszechobecność walczącej Polski, pomnażając znakomicie nasz udział w ogólnym wysiłku narodów sprzymierzonych.

We wszystkich oddziałach zapasowych i pomocniczych sumiennie, porządna pracą przyczynia się do zwiększenia owoceń wysiłku wojennego.

W obozach jeńców i internowanych, w obozach koncentracyjnych, więzieniach i łagrach zachowuje gotowość podjęcia czynnej walki, gdy tylko nadejdzie chwila.

Przemocą w obce wlatowany szeregi, albo polskie z angielski nazwy, nie zapomina, że największą cnotą żołnierza jest wiemność ojczyźnie.

Wszędzie, gdziekolwiek los go rzuci, swą nieugiętą postawą godnie reprezentuje nie mogący się wypowiedzieć naród w czasie, gdy powołano do tej reprezentacji ludzimi zbrinko charakteru.

Nie żałoba po zgonie tylu serdecznych kolegów temu winna; takie jest prawo wojny, że ten, kto sam życie co dnia naraża, ma prawo do radości nawet w obliczu ciężkiego zniewa śmierci. Inne nas trapił troski. Z szalonym niepokojem o los naszych rodzin w kraju, na którego obszarze zmagają się dwie barbarzyńskie, bezwzględne, a nam jednako wrogie potęgi, łączą się największa troska — zagrożenie ojczyzny. Zagrożenie cięższe niż było we wrześniu 1939 r., niż było w 1940 r., niż było kiedykolwiek od sierpnia 1920 r.

Święto żołnierza nie może więc w tym roku być dla nas dniem radości. Może być jednak czymś niemniej cennym — źródłem otuchy. Wszak to święto ustanowione zostało dla pamięci chwili, gdy zagrożenie ojczyzny równo może naszemu zostało przezwyciężone. Przewyciężone własnym wysiłkiem żołnierza i narodu, wysiłkiem tak trudnym, dokonany przy tak znacznej nierównowadze sił, że wielu współczesnych za cud go uznawało.

Podobienstwo położenia zwiększa fakt, że Polska jak i wówczas ostatnia Europa i europejską kulturę przed obcym jej światem mongolskim, że ostaniany przez nią Zachód z równym brakiem zrozumienia, gdzie niegdzie z niechęcią przygląda się tej rozgrywce, że namawia nas do rezygnacyjnej ugody, nazywanej dziś jak wówczas „realizmem”. A front bojowy przebiega znowu nad Wisłą, a o Warszawie toczą się walki...

Jest i wiele różnic. Ale nade wszystko pozostaje istota rzeczy: nauka, iż w sytuacjach najbardziej, zdawałoby się beznadziejnych, nie wolno rezygnować, bo wytrwać, do ostateczności uparta wola osiąga skutki z cudami graniczące, a dobry żołnierz, oparty o wodzów, do których ma zaufanie, pewny swojej sprawy, jest siłą nie do zwyciężenia.

(Dokoniczenie art. na str. 6.)

WARSZAWA

(Tygodniowy przegląd wydarzeń)

Warszawa po raz drugi w tej wojnie znalazła się na linii frontu. Po raz drugi walczą sama — bez niczyjej pomocy — przeciw tym, którzy chcą zdławić jej ducha wolności. Po raz drugi płoną jej domy, giną jej mieszkańcy, walą się pod bombami wroga całe dzielnice. Stolica po raz drugi manifestuje krwawo, że chce sama rozstrzygać o swym losie i być panią u siebie.

W Warszawie wybuchło powstanie przeciw Niemcom. Nie wiadomo jeszcze w jakich okolicznościach doszło do walk i kto za ich rozpoczęcie ponosi odpowiedzialność. Trudno oczywiście zorientować się w działaniach Armii Krajowej, zwłaszcza, że prawdziwy obraz sytuacji stolicy jest prawdopodobnie fałszowany różnymi wersjami rozwiastaniami przez komunistów, którzy, by szeryfów zamęt, starają się sukcesy armii polskiej przypisać tzw. „partyzantom” czy „paktotriom”. Nas oczywiście interesuje tylko akcja bojowa żołnierzy polskich z regularnej Armii Krajowej, a nie działania grupek dywersantów.

Według meldunków, które Gen. Bór, dowódca powstaniem z ramienia Armii Krajowej, przystał do Londynu i depesz P. A. T., Armia ta obsadziła Stare Miasto, Plac Napoleona, Ogród Saski, część Marszałkowskiej, główny gmach Poczty itd. Później oddziały jej zajęły Plac Wilsona na Żoliborzu, a także część Mokotowa. Niemcy natomiast trzymali arterie: Al. Jerozolimskie — Dworzec — Most Poniatowskiego. Gen. Bór stwierdzał, że duch żołnierzy i ludności stolicy jest wspaniały i że „tymu ochotników przylączyła się do oddziałów Armii Podziemnej”. Gen. Bór dodawał jednak: „brak nam natomiast broni i amunicji”. Polakom nigdy tylko nie zabraknie krwi do przelania za swój Kraj...

Ostatnie wiadomości, jeszcze niedokładne, brzmiały mniej optymistycznie. Prasa włoska podaje, że Niemcom udało się posunąć w stronę mostu Kierbedzia oraz zająć część dawnego ghetta. Przystąpili oni do systematycznego bombardowania z powietrza osiedleńców dzielnicy stolicy, Arteria niemiecka, ustawiona na Pradze, zaczęła ostrzeliwać walny brzeg Wisły.

Druga bitwa o Warszawę rozgrywa się na oczach całego świata już od 10 dni. Rodzi się tylko pytanie, czy oczywiście widzą, czy dostrzegły one ów nowy akt dramatu Warszawy i Polski, nową krwawą ofiarę, którą daje naród, by stolicę oswojonych własnymi rękoma, by nie dopuścić do bezwzględnej przechodzenia jej z jednych rąk obcych w inne obce ręce. Sądzimy, że nadejdą z czasem bardziej szczegółowe opisy tych nowych walk bohaterskich, dumnych, twardej — toczącej znowu w warunkach bezprzykłądnych. Przyszłość zaś niedaleka pokaże, czy powstanie wybuchło w porę i czy było politycznie uzasadnione.

Zanim to się stanie, wypada zwrócić uwagę na inne wydarzenia, na które wskazał londyński „Observer”. Pismo to zapytywało, dlaczego armia sowiecka z chwilą wybuchu powstania w Warszawie przestała nacierać bezpośrednio na miasto, a rozwija jedynie rozległe uderzenia okrążające.

Być może, niedługo już pytanie „Observer” znajdzie właściwą odpowiedź. Na razie pozostaje faktem, że armia czerwona nie pośpieszyła na pomoc walczącym Polakom. Przelana ich krew nie wywołała w Moskwie żadnego odruchu. Trwały tam nadal upokarzające targi o Polskę, o jej granice, konstytucję, Warszawą walczącą i walczą samą. Polacy giną również sami, armia czerwona zademonstrowała raz jeszcze, że nie jest ich sprzymierzeńcem.

Dlaczego?

Czy walka w Warszawie była wskazana w tej chwili dziejowej? Prezydent Rzeczypospolitej oświadczył w dniu 29 lipca że „walki Armii Krajowej na Wołyniu, w ziemi wileńskiej, nowogródzkiej, a ostatnio we Lwowie i na Lubelszczyźnie oraz na tyłach armii niemieckiej okazują światu, że Polska żyje i nigdy żyć nie przestanie. Są one dowodem niezłomnej woli narodu utrzymania bytu wolnego i niepodległego pomimo największych przeciwności i ofiar”.

W inny ton uderzył w przemówieniu swym min. spraw wewn. Banachyć mówiąc w dniu 27 lipca: „Pod naporem bohaterskich wojsk sowieckich załamuje się wszelki opór niemieckich sił zbrojnych. Tempo pochodu armii czerwonej przyspieszają niewątpliwie walki Armii Krajowej, która posłuszna rozkazom swego rządu przeszła do otwartych bojów z Niemcami”.

Nie ulega istotnie wątpliwości, że Armia Krajowa dopomogła armii czerwonej, lecz armia czerwona, jak wykazuje przykład Warszawy, nie zamierza pomagać Armii Krajowej.

W depeszy Polskiej Agencji Telegraficznej z Londynu o całonocnych walk Armii Krajowej podano m. in.:

„Na całym terytorium położonym na wschód od Wisły Armia Krajowa przeszła do działań bojowo-dywersyjnych, a więc konspiracyjnych, do walki otwartej. Sprawna organizacja i mobilizacja dały sporą ilość dywizji, które rzucane w odpowiedniej chwili na niemieckie tyły, przyczyniły się w dużym stopniu do jej klęski umożliwiającej wojskom sowieckim szybkie postępy. Oddziały Armii Krajowej wyparły Niemców z wielu miejscowości zajmując je wcześniej od wojsk sowieckich. Pierwszym żołnierzem, który jak burza uderzył na Niemców w Wilnie i we Lwowie, był żołnierz Armii Krajowej. Walki dywizji wileńskiej, wileńskiej, nowogródzkiej, lubelskiej stanowią pełną chwytą kartę w historii tej wojny”.

Wynika z tego, że celem walk Armii Krajowej na wschód od Wisły i na ziemiach wschodnich było nie tylko pomaganie „bohaterskim wojskom sowieckim”, ale czynne stwierdzenie, że ziemię te należą do Polski, że mieszkańcy jej uzbudzeni i walczący są ich jedynymi gospodarzami, że oni pierwsi zajmują miasta polskie i wieś. Niestety, ta krwawa i bohaterska demonstracja przytoczonych ziem wschodnich do Polski nie wpłynęła dotąd w niczym na bieg spraw międzynarodowych i na postawę Moskwy wobec nas. Dla nas tylko, a zwłaszcza dla rządu polskiego, którego polityce dywizje wileńska, wołyńska, nowogródzka, lubelska byłyby posłuszne, powstało jeszcze jedno zobowiązanie, by przynależność do Polski ziem, z których wyszli ci żołnierze, podtrzymywać nie tylko teoretycznie, ale bronić uparcie konsekwentną polityką.

Pozostaje jeszcze sprawa opieki nad żołnierzami, którzy walczą na polskich ziemiach wschodnich. Czy wiemy co się z nimi stało? Czy wszyscy są bezpieczni? Jakże było w szczególności zachowanie wobec nich dowódców sowieckiego? Sądzimy, że na ten temat ujawniona będzie z czasem cała prawda, która wykaże rozmiary dobrej woli naszej i sowieckiej.

Wyjazd z Moskwy

Nie wiemy, czy p. Mikołajczyk poruszył tę sprawę w Moskwie w czasie swego tam pobytu. Opuścił on Rosję uważając rozmowę swe z uzuporatorskim komitetem wyzwolenia jedynie za „przerwane”. Bilansowi jego podróży poświęcamy uwagę na innym miejscu. Notujemy tu tylko,

PRZEGLĄD PRASY WŁOSKIEJ

(Dokończenie ze str. 5.)

nacisków i interwencji. Rosja, powiedział premier, zgodnie ze swymi sprzymierzeńcami posiada tylko jedno zwycięstwo: by Włochy zwiększyły swe siły zbrojne. Dlatego Rosja popierać będzie każdą propozycję, która prowadziłaby do zwiększenia udziału włoskiego w wojnie, a także stanowisko musiałoby spotkać się tylko z unaniem ze strony włoskiej”.

Oświadczenie p. Bonomioego posiada nicmale znaczenie. Przypada ono czemuś dotąd energicznie i oficjalnie zaprzeczano — że Europa została podzielona na jakiegoś strefy wpływów i że Włochy znalazły się w strefie poza rosyjskiej. Musi jednak w takim razie istnieć również rosyjska strefa wpływów, w której zapewne umieszczono Polskę, bez jej oczywiście zgody. Zgodę tę chce się wymusić na p. Mikołajczyku.

Oświadczenie p. Bonomioego na temat stref wpływów okazało się sensacją nawet dla prasy włoskiej. „L'Italia Nuova”, organ włoskiej Partii Demokratycznej, wystąpił z zarzutami pod adresem p. Bonomioego twierdząc, że obecny rząd włoski — wzorem rządów faszystowskich — ukrywa przed opinią włoską niektóre doniosłe zobowiązania międzynarodowe.

Metoda wszelkie zatajania następstw podziału kontynentu na strefy wpływów stosowana jest również przez inne rządy „demokratyczne”. Być może dowiemy się kiedyś o szczegółach zobowiązań teherańskich, na razie opinia polska, podobnie jak włoska, jest także zastawkiana różnymi ponurymi następstwami tej konferencji. Dzieje się to, mimo że Polska była ostatnieczym pierwszym aliantem w tej wojnie, a Włochy walczyły dopiero o zdobycie miejsca w gronie sojuszników.

Z faktu, że Włochy — na ich szczęście — znalazły się poza rosyjską strefą wpływów, nie wynika, by polityka moskiewska nie próbowała odgrywać na tym terenie

że wyprawa ta wywołała jeszcze większy zamęt w opinii włoskiej na temat spraw polskich. Wyjątkiem pod tym względem jest stanowisko „Osservatore Romano”. Pismo włoskie z dnia 6 sierpnia poświęciło mianowicie artykuł zagadnieniu granicy polsko-rosyjskiej. Na podstawie tego bczstronnego wywodu czytelnik mógł przekonać się o słuszności prawdziwego stanowiska Polski. Pisząc zaś o drożdzy p. Mikołajczyka do Rosji organ watykański wskazał na osobliwość tej wyprawy, polegającej na rozmowach z rządu sowieckiego z premierem nie uznawanym przez Rosję i na pertraktacjach tegoż premiera z samozwańczym komitetem, nie uznawanym przez rząd polski. Rozwiązanie zagadnień polskich widzi „Osservatore Romano” nadal w słowach, które Pius XII skierował do Polaków.

W pismach włoskich zarysowały się dwie opinie na temat wyprawy p. Mikołajczyka. „Il Tempo” wskazywało, że w stosunku do Polski nie może być stosowany przykład jugosłowiański i że rząd typu Subasica jest dla Polski nie do przyjęcia. Rząd polski, zdaniem dziennika, nie ma tematu do dyskusji z „komitetem wyzwolenia”. Inne jednak pisma widziały w podróży zapowiedź „kompromisu”, a każdy „kompromis” w ich mniemaniu jest objawem pomyślnym. Pisma te nie widziały, że chodziło o kompromis, ale kapitulację Polski.

Na Wschodzie i na Zachodzie

Komunikaty sowieckie przestały ostatnio wspominać o warszawskim odcinku frontu. Niemcy natomiast oznajmili, że udało im się okrzężyć i zniszczyć na wschód od Warszawy „III sowiecki korpus pancerny”. Twierdził też, że odebrał Radzymin. Na ogół wszakże front wschodni wykazywał ostatnio tendencje do stabilizacji. Nastąpiło to zapewne dzięki nadejściu przez Niemcy posiłków na wschód — tam udała się podobno znana dywizja Hermanna Goeringa z Włoch — jak i wskutek konieczności ściągnięcia odwodów przez dowódczo sowieckie. Właściwa walka o Wisłę, Prusy Wschodnie i przejścia przez Karpaty jeszcze nie rozpoczęła się. Niemcy wszakże wykazują obecnie więcej optymizmu. Zapewniają, że z siedmiu sowieckich przyczółków mostowych na lewym brzegu Wisły utrzymali się tylko dwa: jeden pod Warką, w kierunku na Grójec, drugi pod Sandomierzem. Wielkim wysiłkiem udało się Niemcom zatrzymać marsz sowiecki na Prusy Wschodnie za-

równo od strony Kowna-Kłajpedy, jak i Augustowa-Białegostoku. Wojska sowieckie odniosły stosunkowo największe sukcesy w Małopolsce Wschodniej i Zachodniej zajmując Stryj, Sambor, Chyrów, zagłębie nałowe, w województwie krakowskim Mielec (jeden z ośrodków COP). Po sforsowaniu Wiśłoki, nacierają na Tarnów stawiając sobie za cel marsz na Kraków i Śląsk. Czy Niemcy mają jeszcze możliwości odparcia tego niebezpieczeństwa, pokaże najbliższa przyszłość. Będzie to zależało od ilości rezerw, które zdolają skoncentrować na wschodzie kosztem nawet frontów zachodnich.

Na razie nie widać jeszcze, by Włochy oparły niemiecki słab. Walki toczą się wciąż dokoła Florencji. Znowu poczyniły postępy jedynie wojska polskie, które przekroczyły rzekę Mięś i walcą między jej korytem a rzeką Cesana. Niemcy stawiali również do dni ostatnich silny opór w Normandii, na odcinku Caen. Podjęli oni nawet gwałtowną kontrofensywę w kierunku na Avranches, by odciąć siły amerykańskie, które przystąpiły do Bretonii, od wojsk alianckich walczących w Normandii. Próby te jednak zawiodły.

Załamanie się kontrofensawy niemieckiej zdecydowało o wynikach ofensawy w północno-zachodniej Francji. Wojska amerykańskie, z chwilą gdy przebyły nadbrzeżny pancerny obrony osłaniający Francję, znalazły się wobec pustki. Pancerne ich jednostki mogły posuwać się szybko na wielkich przestrzeniach w kierunku Paryża, Brestu i rzeki Loire, „jak okryty na wolnym morzu”. Według określenia korespondentów wojennych, Niemcy bronią się jeszcze w niektórych portach Bretonii, lecz wojska amerykańskie stanęły już w Le Mans, w odległości 150 km od Paryża.

Zdenerwowanie Niemców objawia się w pośpieszonym ewakuowaniu swych władz z Paryża do Nancy, w pogłoskach o opuszczeniu przez rząd Lavalu miejscowości Vichy, w wiadomościach o możliwości opróżnienia przez Niemców całej południowej Francji i wreszcie w rozszerzaniu przez nich deszpekach o zamierzonym lądowaniu sojuszników w południowej Francji lub w okolicy Genewy. Czyżby Niemcy istotnie uważali Francję za straconą? Jej wyzwolenie, obok oswojzenia Włoch, miało być poważne i jak przypuszczamy, pomyślne następstwa polityczne i strategiczne, dawałoby bowiem wojskom angielskim mocną pozycję na kontynencie.

Niemcy próbują odwrócić uwagę swej opinii od sytuacji na frontach drukując w prasie ponure obrazy procesu i powieszenia marsz. polowego Witzlebena i wyższych oficerów niemieckich, których lista wzrasta, oskarżonych o spisek przeciw Hitlerowi. Poza tym przeprowadzają totalną mobilizację zaciągając ludzi w dzielnicach przygranicznych do robót fortyfikacyjnych. Z apelem do ludności tzw. Warthegau czyli po prostu poznańskiego i łódzkiego zwrócił się ostawiony Greiser; wezwał on ludność do 15 — 65 lat, by szła wznosić umocnienia. Odczyna jest szczególnie przeto, że wymienia Polaków, jako stanowiących „poważny odłam” ludności podległej Greiserowi. A przecież chwelił się on jeszcze niedawno, że wytypi polskość u siebie w ciągu kilku lat.

Jeszcze o Finlandii i o Turcji

Marszałek — prezydent Mannerheim utworzył nowy rząd pod kierownictwem Hackzella. Ministrem spraw zagranicznych został Enckell, który uchodzi za posiadającego stosunki w Rosji. Jednocześnie marszałek wydał rozkaz do wojska oświadczać, że „walka o istnienie kraju i jego przyszłość trwa”. W prasie włoskiej zauważono, że podobne rozkazy wydawane były we Włoszech przed... ich kapitulacją.

Zerwanie przez Turcję stosunków z Niemcami wywołało w prasie rosyjskiej reakcję raczej krytyczną i pełną zjadliwości. Przyznajemy, że spodziewaliśmy się tego. Moskiewska „Prawda” zamieściła pod adresem Turcji złośliwy artykuł wytkający jej popieranie Niemiec, niechęć do przystąpienia do wojny itd. Czyżby „Prawda” zapomniała o przyjaźni rosyjsko-niemieckiej przed rokiem 1941? Zerwanie Turcji z Niemcami nie oznacza, zdaniem dziennika sowieckiego, wejścia Turcji do grona sojuszników. „Prawda” zarzuca Turcji dalsze utrzymywanie stosunków z Węgrami i Rumunią, co jest tym dziwniejsze, że Rosja utrzymuje stosunki z Bułgarią i nie widzi w tym nic złego. Co jest przyczyną złego humoru Rosji pod adresem Turcji? Czy pewnego wskaznika w rozwiązaniu tej zagadki nie należałoby szukać w energicznym rozszerzaniu sowieckiej sieci placówek dyplomatycznych w krajach Środkowego Wschodu? Ostatnio powstały poselstwa sowieckie w Syrii i w Libanie. Chyba nie bez powodu.

D. I.

D. I.

6 DNI WALKI

Znajdź na mapie trójkąt pomiędzy wiodącymi rzekami Musone, jej dopływem Fiumicello i drogą Filotrano - Jesi.

W środku trójkąta, który odnalazł na mapie, znajdziesz najwyższy punkt terenu (liczący „tylko” 229 metrów nad poziomem morza), na nim kilka domków i napis Centofinestre. Jeszcze możesz zobaczyć na mapie, że w tym miejscu 5 polnych drózek spłata się w dwa trójkąty, w sumie zajmujące nie więcej niż 300 metrów kwadratów terenu.

W zagłębieniu kukurydzy, na skraju dębowego gaju, niemiecki oficer zgubił mapnik. Podnieś go. Widzisz ołowikiem pociągniętą linię?

Idzie od brodu na rzecze Chienti, koło Beltravato, przez duże osiedle Morrovalle, przez wysadzoną już dziś na rzecze Potenza most koło Sambucheto, przez szosę Macerata-Recanati, polnymi drózkami, przez Montefano, przez rzeczkę Fiumicello i zakręca się dokoła Centofinestre. Ten, który zakreślił kółko na niemieckiej mapie, nie żyje. Poległ pod Centofinestre. Nie istnieje też jego kompania. Podobną drogą, jak zakreślona na niemieckiej mapie, nieco główną osią bardziej na wschód, szedł poćwić „Kresowej”. Ułani Północy podpadli Niemców w S. Biagio. Tu ich zgromadzenie miało piękną 5-godzinną bitwę 1.VII. Tu ranniem 2.VII odparli niemieckie przeciwdzierzenie, gdy podszedło do domku, w którym dowodził Zbigniew, gdzie właśnie w tym momencie przyjechał dowódca „Kresowej”. Tu, w S. Biagio, po raz pierwszy od przekroczenia rzeki Chienti, obrońca niemiecka pokazała swój pazur. Tu z obu stron na pobojowisku pozostały roztrzaskane czołgi, spalone kariery, powywracane wozy, rozjechane haubice.

Już wiesz, że dokoła Centofinestre zakreślił kółko na mapie niemiecki oficer. Wiedzą, że tam okopał się niemiecki baon. Bronią dojecha do Filotrano, bronili wyciąga na szosę na Jesi, zagrażał skrzydlu „Kresowej”, to znaczy zagrażał skrzydlu Polskiego Korpusu. Stąd 2.VII linia frontu biegła około 7 km na południe, gdzie na lewym skrzydle „Kresowej” podchodzili Włosi.

Trzeba zdobywać każdy dom

Baon podjechał wczoraj w rejon na południe od S. Biagio. Dziś w nocy był pod ostrzałem artylerii niemieckiej. Zmarli ciężko ranni oddziałami artylerijskiego pocisku plutonowy Gajdzis Bronisław.

Jest rano 2.VII. Ułani dali sobie rękę z niemieckim przeciwdzierzeniem. Kompania kpt. K. Ludwika ma przejść przez S. Biagio i uderzyć na wzgórze 206. Kompania wyrusza o g. 8. rano.

Kariery ciągną moździerze, działka ppanc., c.k.m.-y. Szybko posuwają się wzdłuż drogi plutony. Na drodze stoją utłaśnione wozy. Drogę okładają niemiecka artyleria i moździerze. Sa pierwszy ranni w kompanii.

Tuż za zakrętem drogi, gdzie zaczyna się wzgórze 194, padają na rozwinięte plutony pierwsze serie Spandau'ów.

Z jakiegoś okna na piętrze czy z drzewa padnie pojedynczy strzał strzelca wyborowego. Te są najgorsze. Trzeba zdobywać każdy dom, przeszukiwać każde pole. Drużyny idą jarem obok drogi, przez pole, wzdłuż drogi. Przyszkakują trzaskającą szkarpe terenu, każdy rząd półkopków.

Domki oczyszczone, pola spenszowane. Kompania ma 17 rannych. Wszystko od Spandau'ów i strzelców wyborowych. Przeszła 1000 metrów, zdobyła wzgórze 206.

Teraz kompania por. P. poszła zdobyć północną część S. Biagio i ma ubezpieczyć przewidziane natarcie baonu. Kompania idzie bardzo szybko i w ciągu pół godziny osiąga nakazany rejon. Ma dwa zdobyte Spandau'ów. Lecz nie z nich jest największa uciecha: zdobyto polski pistolet marki „WIS”. Data na pistolecie: Radom 1939.

Dowódczo nad obiema kompaniami objemuje major Aleksander F. Cały baon tymczasem otrzymał rozkaz do dalszego natarcia i przystępuje się doń na godzinę 15.

Natarcie dowódca baonu pomyślał jako obejście Centofinestre od południa, a nawet zachodu.

Kapitan P. przechodzi przez tych, co opanowali rejon drogi. Na południe od szosy idzie ze swoją kompanią por. E.

W ogniu niemieckiej artylerii

Punktualnie o g. 15. artyleria otwiera ogień na Centofinestre. Na prawym skrzydle doskonale wspierają baon ogniem 4 czołgi. Na obie strony drogi S. Biagio-Centofinestre kładą Niemcy zapórę ciężkiej artylerii i moździerzy. Ogień jest tak silny, że wkrótce dowódcy czterema czołgami porucznik melduje majorowi F.: jedemu czołg spalony, dwa uszkodzone przez

działka ppanc., został mi jeden, ale i ten nie strzela. Ten zresztą nie strzelał od początku, z powodu uszkodzenia działka.

Już 4 radiostacje w baonie strzaskane oddziałami pocisków. Radiostacja Janka ma pręt anteny uwrwany przez pocisk. Jankowi pozycyją pręt z unieruchomionego czołga. Radiostacja Janka pracuje dalej.

Kompanie kpt. P. i por. E. przeszkoczyły ogień artylerii. Jednak na skraju dębowego lasu zatrzymał je krzyżowy ogień niemieckich Spandau'ów.

Lasek okazuje się doskonałą pozycją obronną. Nie tylko jest najwyższym punktem terenu, nie tylko posiada szereg trudnych do przeskokowania szczytów, ale nadomiar wewnątrz stoją w nim cztery wysokie muryrowane wieżyczki, z których okienkiem siękają niemieckie kmy i strzelcy wyborowi. Przy szosie w głębokich rowach zamyka drogę 5 niemieckich Spandau'ów. Nicco głębiej dwa działka ppanc.

Przez całe popołudnie i wieczór trwa ciężka walka ogniomu na odcinku baonu.

Kompania por. E. wysforowała się i dojecha do Guardinello idąc z nacierającymi zagonem czołgami. Teraz między nią a resztą baonu jest luka około 1 km. Późnym wieczorem w tę lukę ppulk D. rzuca ostatnią kompanię por. P. Blżej podąża kompanię „Rysiów”. Kompanie lwowiaków mając w swym środku obronny czworobok czołgów konsolidują się i przygotowują do odparcia ewentualnego przeciwdzierzenia niemieckiego w nocy.

W kompanii pierwszej podliczono zdobytych dnia. Jest tego sporo: 14 jeńców, dwie haubice, dwa moździerze, 3 Spandau'ów, 13 Schmeisser'ów, z jednego podbitego czołga uciekła niemiecka obsługa pozostawiająca podbity czołg na odcinku baonu. Ktoś nawet zabrał się w kawalerzystę i pojechał na rasowym zdobytym rumaku, odprowadzając 5 pięknych artylerijskich koni.

Późnym wieczorem przychodzi rozkaz zawiadamiający, że całość odcinka obejmuje lwowska Brygada pod dowództwem pułk N.S. W prawo i w lewo od baonu podciągają dwa inne lwowskie baony. Idący wzdłuż drogi baon majora B. przywitał huraganowy ogień niemieckiej artylerii. Pocisk trafia w wóz z amunicją. Pali się benzyna. Luna pożaru ściga dalsze salwy niemieckiej artylerii.

Teraz „w tyle”, bliżej S. Biagio, jest bardziej niebezpiecznie niż na przednich pozycjach baonu, gdzie Niemcy nie kładą ognia artylerii. Zresztą nie mogą. Lwowiacy leżą od pozycji niemieckich o 80 do 100 metrów.

Wyciąca na zachód od Centofinestre zamyka wzgórze z jednym, z daleka widocznym domkiem. Na ten rejon nacierają o świcie dwie kompanie: druga i czwarta. Równocześnie mjr F. demonstruje z resztą baonu i kompanią „Rysiów” natarcie na Centofinestre od czoła.

Natarcie rusza rano o godzinie 4. Walka jest bardzo ciężka. Na wzgórze z domkiem trzeba wyjść z doliny głębokiej na około 100 m., trzeba biec przez góse rzyśko, albo przemknąć się bokiem przez tan kukurydzy. Przy drodze, dokoła domku Niemcy wykopalili głębokie stanowiska, zamaskowali je snopkami i rażą z nich ogniem posuwających się z dołu lwowiaków.

Virtuti Militari

Podporucznik Sekuła wbiegł na wzgórze. Leży o 20 m od niemieckiego sznaka.

— Podajeście się!

Odpowiadają mu, że mają jeszcze czas. Znowu seria w snopki, zwa których dochodzi niemiecki góse, znowu seria w brudzie, w której leży ppor. Sekuła i jego żołnierze. Z tyłu pierze ogniem nasz czołg.

Podporucznik Sekuła wyskakuje z lkm - em.

— Podajeście się!

Tym razem Niemcy wyciągają ze stanowisk, poddają się. W tym samym momencie obok pada pocisk niemieckiego moździerza. Idą serie z czołga na dalsze niemieckie pozycje. Podporucznik Sekuła pada zabity. Zginął oficer propagandowy baonu. Na ochotnika zgłosił się dziś do d-cy kompanii, gdy ten meldował się u d-cy baonu, z prośbą o przydzielenie mu jednego oficera na zastępę d-cy kompanii.

Godzina 5. domek zdobyty. Obie kompanie wyszły zgodnie z wczorajszym planem na środek Centofinestre od południa i zachodu.

Do natarcia ruszają pozostałe kompanie baonu i kompania „Rysiów”. Lwowski PAL

lokuję pomiędzy domkami osiedla nowe nawaly.

Z ukrycia rażą niemiecy strzelcy wyborowi. W baonie nie ma w tym dniu prawie innych zabitych niż od kuli niemieckiej w czoło lub w pierś...

Większość tych, których d-ca baonu przedstawił do Virtuti Militari za akcję pod Cassino, padła w tym dniu lub są ranni. Wśród nich ppor. Sekuła. Ranny kapral Markowski. Ten sam, który niedawno wypili za wiele włoskiego wina. Był z zawodu murarzem. Zobaczył pułkownika idącego w jego stronę. Jedyną w swym życiu z trzech zdań złożoną mową wygłosił podniecony włoskim winem:

— Prowadź nas do Polski. — Ja ci, panie pułkowniku, Polskę murywaną wybuduję. Murywaną, rozumiesz?

Do baonu przyszedł z nowym uzupełnieniem strzelec Stachowiak. Nie trzeba było zaglądać do książki kar. Sam opowiadał, że za przesiedział miesiąc w więzieniu. Rozbroił 6 wartowników. Po pianemu. Podchmielił się włoskim winem.

Dziś przed natarciem, w postawie, jak nigdy, na baczność, meldował:

— Panie poruczniku, strzelec Stachowiak melduje, że pokaze, że nie tylko potrafi rozbrajać wartowników. Niemców też rozbrajać potrafi.

Położył dziś pięciu. Padł od kuli szóstego. Szukali go zresztą od rana. Kula niemiecka trafiła go w samo czoło.

3.VII Centofinestre zdobyte. To znaczy zdobyty lasek u skrzyżowania dróg, z palacem. Lecz nie oczyszczone. Wszędzie jeszcze po zaroślach kryją się pojedyncze Spandau'ów i strzelcy wyborowi.

Do oczyszczenia skrajów osiedla przydałyby się kariery. Lecz własnych wolnych w baonie nie ma. Wszystkie zajęte. Podciągają działka ppanc., wożą amunicję, zwolą rannych.

Z sąsiednie lwowskiego baonu przyjeżdża ppor. B. z czterema karierami. Jedzie do kompanii kapitana P. Będzie na siebie ścigał uwagę i niemieckie granaty, rzucane z okien domów na otwarte od góry kariery, będzie rozjeżdżał stanowiska, a strzelcy kapitana P. będą wybijać tych, którzy się zdradzą.

W zamian w baonie majora B. zostaje 5 działek ppanc., które tam są w tej chwili bardziej potrzebne.

Pod znakiem Czerwonego Krzyża

Oczyszczanie Centofinestre trwało do południa. Zamilkły niemieckie Spandau'ów. Z doliny między szosą a laskiem wycofały się dwa niemieckie czołgi. Lecz po drugiej stronie szosy, w willi ogrodzonej żywopłotem, trzymają się Niemcy. 70 m od domku, w którym są Niemcy, a skrajem dębowego gaju, gdzie okopali się lwowiacy, leży dwu rannych. Idzie po nich z chorągwią Czerwonego Krzyża sanitariusz Koldra Jan. Bierze na plecy rannego kaprala Markowskiego i unosi go do swoich. Dostają serię ze Spandau'ów. Pociski obcinają nogę kapralowi Markowskiemu. Umiera z upływu krwi. Sanitariusz, ranny w nerki, kołkuje później życie w szpitalu.

Na ochotnika zgłasza się najlepszy sanitariusz kompanii Korzan Ignacy. Dostaje serię w głowę. Pada obok rannego, którego chciał podnieść.

Jeszcze raz później idą z drabinką, bo noszy zabrakło, na ochotnika strzelcy Jankowski i Stanisł. Jankowski, śmiertelnie ranny, umiera na miejscu.

Nie ma też mowy, by po rannego do lasu podjechała sanitarka. Połowę rannych wywioził tego dnia do W.P.O. lazienki zastępcy d-cy baonu strz. Wiktor E. Innych pozwoili kariery.

Na pierwszych zdobytych w Centofinestre pozycjach baon przeleżał pod ogniem niemieckich moździerzy i artylerii od ranka 4.VII.

Trzeba wyrzucić Niemców z najbliższych, najbardziej dokucających stanowisk. Domek naprzeciw musi być zniszczony.

Mjr. F. wyzwa dwa działonowych działek ppanc.

— Tu podjedziecie na karierach. Stąd 300 m widzicie domek. Stanicie na skraju rzyśka. Kropnąć w ten domek i dwa sąsiednie. Srodkowy najgroźniejszy. Dostanie połowę amunicji, oba pozostałe drugą połowę. Wtedy chodu. Działka zostawić. Działka się później odegnie. Ręczę, nie się wam nie stanie, tylko zwiąca się.

Działonowi podczołgują się na rzyśko. Wbijają szpilki na miejscach, gdzie mają stanąć działka.

O godzinie 16.10 kpt. R. kładzie ogień ze swoich 25 funtówek na rejon domków. Ppance zajeżdżają na stanowiska.

Rozjarzone pociski żgają ściany domków. Gruchot walących się ścian, to jakby komenda dla niemieckiej artylerii. Na cały rejon drugiej i trzeciej kompanii kładzie się nawata pocisków ciężkiej artylerii i moździerzy.

Lecz na domku środkowym pojawia się chorągiew Czerwonego Krzyża. Wywieszają ją ci sami, którzy położyli trupem trzech sanitariuszy.

4. VII to trzeci dzień walki baonu o Centofinestre. Już zdawałoby się, że prócz willi nie ma nigdzie Niemców. Są jednak. Siedzą w łanie kukurydzy, o 100 m od lwowiaków i tylko czyhają, by ktoś wyjrzał z domku, czy wychylił się za drzewa.

Kapitan R. bierze tan kukurydzy pod specjalną opiekę lwowskiego PAL'u. Łan kukurydzy jest tylko o 100 m. od pierwszej linii własnej piechoty. Strzelac nań artylerii właściwie nie wolno. Kpt. R. wstrzelniwie po kole każde działko swego dyonu. Teraz jest już pewny wszystkich łuf. Dwie nawaly dyonu uciszyły kukurydzą na zawsze.

Ostatnia barykada

...W czwartym dniu walki, 5. VII o godzinie 10 rano, baon zdobywa centrum niemieckiej pozycji obronnej w Centofinestre — z willą po drugiej stronie drogi.

Gdy chcesz zobaczyć, na co nacierali żołnierze lwowskiego baonu, przyjdź do tej willi. Adres: Villa Teresa Bartoluccio 11. Comune Filotrano.

Droga dokoła willi biegnie lekkim zakolem. Przy drodze, za drutem kolczastym, na wysokości szkarpe ogrodu długości około 60 m — jedenaście głębokich, niemieckich stanowisk. Każde nakryte drewnianymi kłocami i warstwą ziemi. By je zdobyć, trzeba biec pod górę po rzyśku, pod ostrzałem wszystkich stanowisk, trzeba przeszkoczyć przez drogę, przeleźć przez szkarpe, przeszkoczyć przez kolczasty drut. Tu na drutach przydrożnych padło najwięcej żołnierzy nacierających kompanii.

Bliżej willi drugi rząd stanowisk. W oknach willi czuwały strzelcy wyborowi. Na prawym rogu, za siatką tenisową, jeszcze inne stanowiska. Głste krzewy maskują doskonale te stojące seriami Spandau'ów fortece. Przy drodze z lewa i z prawa co kilkanaście metrów wykopane rowy, w których mogli zajmować stanowiska wycofujący się z lasu fizylierzy i z każdego następnego brzo na cel biegnących po gómy rzyśku lwowiaków.

Na alei prowadzącej do willi Niemcy ustawili barykadę, na którą przyniesli ławki, krzesła, stoły, wieszaki.

Kapral Birula obszedł barykadę przy głównej alei. Serie Thompsona przepędziły obrońców. Lwowiacy wdarli się do willi, która była kluczem niemieckiej obrony. Lecz przedtem przeleżeli na skraju dębowego gaju naprzeciw willi trzy obcy. Przybij do ziemi ogniem Spandau'ów z willi, rząd niemieckich bunkrów trzymał pod seriami swych lkm-ów.

Gdy zjadziesz dziś na tył willi, zobaczysz 12 niemieckich grobów. Tyłu ich zdążyli pochować. Nawet z tyłu willi czterem postawili krzyże z hakenkrucami:

Więcej ich leży rozrzuconych na pobojowisku. Pójdź chociażby kilkadziesiąt kroków na zachód, wzdłuż drogi do Filotrano. Tam padł ppor. Sekuła. Przy nim leży pięć trupów niemieckich żołnierzy.

Nikolaus Janze Gefr. 2. Fues Bl. 278. Geboren 5. VI. 24. Gef. 2. VII. 44.

Oskar Joeker Gefr. 2. Fues Bl. 278 Gef. 7. III. 26. 3. VII. 44.

Peter Send O. Gefr. 2. Fues Bl. 278 Gef. 25. IV. 26. Gef. 3. VII. 44.

Mangels O. Gefr. Gef. 5. VII. 44.

5 lipca nie było już czasu, by wypisać dokładne dane obergefratrowi Mangelsowi. Na pewno był taki sam młody, jak wszyscy w tym baonie fizylierów, który bił się fanatycznie z nacierającym na Centofinestre lwowskim baonem ppulk D.

Na każdym hakenkruczu data, którą dobrane by było, gdyby zobaczył nie tylko Polak: 1939. Od września tego roku zaczęło się w Polsce. Ież to prawdą zapomniało od tego czasu, ile zmieniło się, ilu przybyło sojuszników, ile nowych hasel rzucało, ile odwołano.

Idący do zawsze wernego miasta Lwowiacy biją się o tę samą prawdę, o którą bili się w roku 1939.

Dobre, że data 1939 na krzyżach nagrobnych niemieckich żołnierzy we włoskim Centofinestre i w r. 1944 przypomina, że zaczęło się w Polsce.

Lwowiacy wierzą, że w Polsce się skończy.

GUSTAW HERLING - GRUDZIŃSKI

BENEDETTO CROCE

Szybki rozwój wydarzeń wojennych na Półwyspie Apenińskim po akcie Eisenhower-Badoglio wysunął na czoło życia politycznego we Włoszech postać Benedetta Crocego. Z dobrowolnie obranego i tak wiele lat trwającego cienia (który był na pewno czymś w rodzaju „splendid isolation”) wyszedł nareszcie ten dumny, nieprzejednany człowiek, którego pisma wychowały niejedno pokolenie włoskich intelektualistów i polityków. Kim jest ów wielki myśliciel? Czym wytłumaczyć jego tak olbrzymi autorytet moralny, który uczynił go nieetykalnym nawet wobec faszyzmu?

Croce znany był za granicą przede wszystkim jako filozof i estetyk. Toteż jego pojawienie się w szrankach walki politycznej było niespodzianką dla niedanego z polskich czytelników. Rzecz niniejszego szkicu jest więc daleko od niego: nie o niego, który z konieczności lub ze szczerym zainteresowaniem śledzą bieg wypadków w kraju tak ściśle i serdecznie związanym z Polską od czasów Garibaldi i Mazziniego. Jest to także niedawno obowiązek narodu, wobec którego historia tak często stosuje kapryśne prawo powtarzalności.

Uwagi niniejsze nie mogą być uważane za wyczerpujący portret. Trudno jest portretować pomnik. Zabraknie bowiem zawsze tego trzeciego wymiaru, który by obok ogromu i rozległości uzmysłowić również jego głębię. Pragną one tylko nauczyć imienia człowieka, który w stopniu znacznie większym niż po żołniersku wierny dynastii Badoglio, a może i większym niż emigrant polityczny Sforza przyczynił się do wyrwania swego ojczyzny z nad brzegu przepaści i dał jej w opinii świata miejsce w szeregu narodów walczących o wolność polityczną, nie ścigane sądami słowo i prawo do radości nie wynikającej z krótkiego, iluzorycznego życia nad stan.

Dane biograficzne

Croce urodził się 25 lutego 1866 r. w Pescasseroli, Aquila. Po ukończeniu szkoły katolickiej spotkał go pierwszy wielki ciem: stracił rodziców w czasie trzęsienia ziemi w 1883 r. Niedługo potem wyjechał do Rzymu, skąd w 1886 r. wrócił do Neapolu, aby pozostać już w nim na zawsze.

Pierwsze parę lat w Neapolu zajmował się Croce badaniem historii miasta i jego starożytności. Dopiero w 1893 zaczął ogłaszać szkice o metodzie historii i metodzie krytyki literackiej, których idee rozwinął później znacznie szerzej w latach 1900, 1904-5. Z tego również okresu datuje się jego zainteresowanie dla zagadnień politycznych, społecznych i ekonomicznych, u. jawione w paru esayach o marksizmie.

Od r. 1902 rozpoczął Croce systematyczne studia z zakresu filozofii ducha, podzielonej na estetykę, logikę, filozofię praktyczną (ekonomia i etyka) oraz teorię i dzieje historiografii. W r. 1903 założył własne czasopismo „La Critica”, bodaj że jedynie niezależne pismo włoskie, które przetrwało „erę faszyzmu” i wychodzi w Neapolu po dzień dzisiejszy.

Dziela zbiorowe Crocego, wydane w r. 1926, obejmują około 20 tomów; spis z r. 1943 przynosi 51 pozycji! Chociaż żywo interesował się polityką wychowawczą, Croce nigdy nie szukał ani nie zajmował stanowiska w uniwersytecie. W r. 1910 przecież, mianowany został senatorem, a od czerwca 1920 do lipca 1921 r. piastował godność ministra oświaty w gabinecie Giolittiego, porzucając ją, gdy zwlekało z wprowadzeniem w życie jego projektu reformy szkolnictwa.

Po „zwycięskim” marszu czarnych koszul na Rzym (1922) Croce zamknął się całkowicie w swej neapolitańskiej samotni. Tu redagował dalej swoją „Krytykę”, pisał i wydawał dzieła sakrojone na olbrzymią skalę i wierny do końca swej zasadzie „czystych rąk” odsuwał się powoli od tych spośród przyjaciół i uczniów, którzy, jak zmarły niedawno Giovannę Gentile, nie potrafili oprzeć się pokusie faszyzmu i zaszczytów i dostojności.

Filozof

Jako filozof Croce nazywany był często uczniem Hegla. (Zna on i ceni polskiego heglistę Augusta Cieszkowskiego). Znacznie rozsądniej byłoby powiedzieć, że rozwija on po prostu i rozbudowuje idee zawarte w pismach swych dwóch wielkich, neapolitańskich poprzedników, Fran-

cesco de Sanetis i Giambattisty Vico. Stornuował więc Croce w swych pismach identyczność filozofii ścisłej i historii i uzasadnił trudność filozofii abstrakcyjnej w zbudowaniu immanentnej metodologii historii. Historia daje to, co Croce nazywa dziełem jednego ducha. W każdej części i momencie historii ten duch jest w całości i niepodzielnie obecny i czynny, a jego działalność nie ogranicza się tylko do historii ludzkiej, ale rozszerza się we wszystkich kierunkach do ostatecznych granic doświadczenia.

Duch ten jest jeden i wszechobecny w całym biegu doświadczeń, ale jednocześnie jest jednocześnie poczwórna i ma w swej strukturze cztery różniące się „stopnie”, których kręgi w stałym rozwoju ciągle się krzyżują i wypełniają nowym doświadczeniem. Cztery te funkcje w łącznym działaniu tworzą ogólny zespół doświadczenia, w granicach którego możemy i musimy rozróżnić cztery korespondujące ze sobą dziedziny estetyki, logiki, ekonomii i etyki, dzieła filozofii, które razem i bez reszty tworzą jej całość. W całej swej funkcji poznawczej ten duch przejawia się jako sztuka, pierwsza albo dawna forma wiedzy, obejmująca to co indywidualne; na drugim szczeblu poznawczy jako logika, albo filozofia abstrakcyjna, obejmująca to co uniwersalne. Stąd jedyną rzeczywistością, która — według Crocego — może być prawdziwie nazwana absolutną, jest historia bez początku i bez końca, „samo-zrodzona” i „samo-objaśniająca się”.

Zdobyczą filozofii Crocego jest jakichś nowy, realistycznie zabarwiony idealizm.

Estetyk

Próby zrobienia z wiedzy o sztuce odrębnej dyscypliny naukowej, operującej własną metodą, przedmiotem i celem, zbiegły się w Polsce ze stopniowym przenikaniem do świadomości uczonych idei estetycznych Crocego. Znał go i cytował wielokrotnie Karol Irzykowski, wielkim miłośnikiem i pilnym uczniem był prof. Wacław Borowy. Na kilka lat przed wojną nastąpił jednak charakterystyczny przełom. Uczony wileński, docent Henryk Elzenberg opublikował głośny artykuł „Zły estetyk i jego sława”, który był niejako próbą wyzwolenia się spod uroku autora „Problemów estetyki” i „Poezji”. Artykuł ten, doskonale napisany, subtelny i wnikliwy, stanowił coś w rodzaju wielkiego nieporozumienia. Croce swoimi dziełami na pewno przełamiał atmosferę oficjalnej estetyki niemieckiej, jałowej dubianiny, która robiła wrażenie samozwańczej gospodarki słoni wśród porcelany. Ale Croce nie stworzył zrybów estetyki seminarystycznej, stanowiącej wzór do naśladowania dla uczniów, estetyki stosowanej. Jego szkice i portrety zawarte w „Poezji i nie-poezji” stanowią raczej niezrównany przykład tworzącej krytyki literackiej, samodzielnego pisarstwa, którego rozmach, zdumiewająca trafność i nieopahomowana wyobraźnia pozostawiają daleko w tyle dzieła zrównoważonego ducha akademickich dociekaczy. Poeci w ujęciu Crocego są czymś więcej niż tylko autorami wierszy, poematów i tragedii. Są twórcami, w intensywnym obcowaniu z którymi i my stac się możemy wielec i my przeżywamy swój jedyny i niepowtarzalny akt twórczości.

Croce utarował swoimi pismami drogę nowemu przekonięciu, że sztuka jest jedną z najszlachetniejszych form intelektualnego, artystycznego i moralnego współżycia wszystkich ludzi. „Kiedy analizujemy, poemat — powiada on — aby sprawdzić, co właśnie każe nam odczuwać go jako poemat, od razu odnajdujemy dwa stałe i konieczne elementy: zespół obrazów i uczucie, które je ożywia. Tym niemniej te dwa elementy mogą pojawić się jako niezależne od siebie tylko w pierwszej abstrakcyjnej analizie, ale nie mogą być uznane za dwa w istocie różne, jakkolwiek przepłatające się wątki. W rzeczywistości bowiem uczucie zawsze przeobraża się w zespół obrazów i wyjaśnione w ten sposób drogą kontemplacji, wzbija się na wyższy transcendentny poziom. Stąd poezja nie może być nazywana ani grą uczuć, sztuką obrazowania, ani jeszcze prostą sumą tych obu czynników, ale „kontemplacją uczucia”, albo „liryczną intuicją”, albo wręczcie (co oznacza to samo) czystą intuicją; czysta, to jest zespoloną krytycznymi i historycznymi związkami z rzeczywistością i niereczywistością obrazów, z których jest utkana i chwytająca czyste drganie życia w jego idealnym przekroju”.

Trudno przypuścić, aby filozofia sztuki Crocego znalazła godnych kontynuatorów i więcej niż przeciętnych uczniów. W przyszłych wypisach z estetyki stanowiąc one będzie osobny rozdział, biorący nazwę nie od jakiegoś nowego „izmu”, ale od imienia swego twórcy.

Historyk i pisarz polityczny

Studia historyczne Crocego związane są ściśle z jego pisarstwem politycznym i tworzą jedną, pięknie organiczną całość, nazwaną „historią polityczną”. Zainteresowanych głównie w tych okresach historii, które dzięki nagromadzeniu zagadnień moralnych, ekonomicznych i kulturalnych stały się okresami zwrotnymi w naszych dziejach — analizuje je nie z oschłą pedanterią dziejopisarza, ale z wnikliwością głębokiego myśliciela. Wierny swemu liberalizmowi etyczno-politycznemu (który oddziela od „liberalizmu” jako doktryny ekonomicznej), śledzi uważnie historię świata widząc w niej jeden, nieprzerwany łańcuch walk ludzkości o wolność. „Mogło się zdarzyć — pisze w przedmowie do „Historii Europy” — że liczne instytucje liberalne zamierzały w biegu dziejów. Ale nie umarła sama wolność, wyłaniająca się z nurtu historii w coraz to nowej postaci, odmłodzona i pełna sił żywotnych”.

Istnieje szczególne pokrewieństwo duchowe pomiędzy tym wielkim neapolitańczykiem, miłującym wolność i kulturę, dumnie, po patrycjuszowski, i innym znakomitym liberałem europejskim Tomaszem Mannem, który wierzył w ideały wolności i czerpał ze wspomnień świetnej tradycji swobod kupieckich hanzeatyckiej Lubecki. Jest to ów specyficzny liberalizm dawnych republik portowych, liberalizm dalekich mórz i połgni rozkwitającego mieszczaństwa. Niby dogasający dzień lipcowy, opie, ra się on całą siłą swego słonecznego zmięchu — noy, która nadciąga wolno, ale nieuchronnie.

Polityk i patriota

Croce jest walczącym pisarzem, ale nie jest na pewno walczącym politykiem. Przeszło dwadzieścia lat życia na ustroniu wyrobiło w nim zamiatowanie do walki piórem, a niechęć do starc w ręce. Gdy podpisano zawieszenie broni, Croce był zrazu nieustępliwy w swym żądaniu abdykacji króla. Ale gdy „komunista Jego Królewskiej Mości” Ercoli zaproponował wykonując wolę polityczną a la Moskwa, utworzenie rządu koalicyjnego i przekazanie przez Wiktora Emanuela władzy ks. Humbertowi dopiero po opadku Rzymu, Croce po raz pierwszy ustąpił. Patriota wziął górę nad politykiem i myślicielem. Croce zatrzymał się o los swej, stawiającej pierwsze kroki po długiej chorobie faszyzmu, ojczyzny. Był to pierwszy sygnał nowej fazy walki politycznej we Włoszech.

Umiałowawszy wolny świat, a w nim swą wolną ojczyznę, z uczuciem rosnącego niepokojem spogląda na niesforną Europę, pędzącą na oślep w nieznane niosącą przyszłość.

(Nadmieniamy, że prof. Croce nie wszedł w skład obecnego rządu Bonomiego, poświęca się natomiast nadal działalności publicystycznej. - przyp. red.)

ZA WOLNOŚĆ NASZĄ I WASZĄ

„Sprawiedliwość nowej Europy!
Wolność nowego świata!”
wystukuje co dzień linotyp,
w Londynie wołają na placach.

Na niebie — znowu Messerschmidtów jęk,
wórog twarzą pięścią kołace do drzwi.
Aux armes citoyens!
All for Victory!

„Sprawiedliwość nowej Europy!
Wolność nowego świata!”
wystukują ciągle linotyp,
w Londynie wołano na placach.

Nad City — zawsze jest mglisto,
dzisiaj mrok bardziej zgęstniał.
To serce Marsa zabiło blisko —
z Dunkierki powiatu kłępską.

„Sprawiedliwość nowej Europy!
Wolność nowego świata!” —
wystukują niezmiennie linotyp,
wołano wciąż głośnie na placach.

Szli wielu narodów żołnierze,
walkili się w cudze rowy,
ciągle, uparcie wierząc —
w te wielkie, piękne słowa.

Megafon na Trafalgar Square
smutne wieści ogłaszał.
Do żołnierza przyszła śmierć
za wolność naszą i waszą.

Piechur z granatem w rękę
poszedł zdobywać bunkry.
W duszy mu ciągle dźwięczał
jeden z atlantyckich punktów.

„Zbliża się wojny koniec,
zwycięstwo jest już bliskie!”
Zawrąto w Waszyngtonie
i w City Londynu mglistej.

„Nowy podział strefy wpływów” —
czarne czcionki głośno krzyczą —
„Pod władzą silnych — słabi szczęśliwi!
Mocarstwa będą opieki używać!”

Sensację Linii Curzona
mrgafon w Londynie ogłaszał,
i pod Cassinem Polak konął
za wolność naszą i waszą...

Henryk Mirzwiński

PROWOKACYJNA KSIĄŻKA

Ogłaszamy ostatni artykuł s. p. ppór. Adolfa Bocheńskiego, napisany dla „Orzeła Białego” na krótko przed śmiercią Autora.

Każdy Polak i każdy bojownik o wolność Europy z wdzięcznością wspomina tę chwilę, kiedy rząd Wielkiej Brytanii w r. 1939 udzielał Polsce gwarancji dla zapewnienia, że Zjednoczone Królestwo zdecydowanie jest walczące o wolność Europy. Potem przyszły ciężkie chwile, kiedy walczylismy z całą armią niemiecką we wrześniu 1939 r., sami, nawet bez pomocy lotnictwa brytyjskiego, które było zachowywane dla innych celów. Każdy z nas, żołnierzy, wiedział jednak, że tego wymagają konieczności strategiczne i że Wielka Brytania wybrała wprawdzie długą, ale pewną drogę do zwycięstwa. Ufaliśmy w lojalność Brytyjczyków, wiedzieliśmy, że nie zmiądną danego nam słowa.

W r. 1941 i później przeżywalismy inny ciężki kryzys moralny. Na terytorium jednego z sojuszników Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych znalazły się setki tysięcy kobiet i dzieci polskich, rodziny naszych żołnierzy. Byli to ludzie siłą wywiezieni z domów, którzy wymierają szybko w rezultacie głodów i wzięcia. Mogliśmy się spodziewać, że w tej przynajmniej sprawie nasz sojusznik przyjdzie nam z pomocą i uratuje te kobiety i dzieci. I tu jednak spotkał nas zawód. Rodzin żołnierzy nie udało się sprowadzić na teren Imperium Brytyjskiego.

Wiedzieliśmy jednak wszyscy i wiemy dziś, że nie dobra wola, ale po prostu tragiczna sytuacja wojskowa i polityczna nie pozwoliła dołączyć naszym sojusznikom uratować tych ludzi. Ufaliśmy dalej i ufamy do dzisiaj i fair play naszych sojuszników.

My — żołnierze emigracji polskiej postawiliśmy wszystko na kartę sojuszniczej lojalności i wierności brytyjskiej, na kartę idealizmu brytyjskiego, którego celem jest sprawiedliwy układ świata nie zaś panowanie kilku drapieżnych imperializmów.

Toteż musimy stwierdzić, że z prawdziwym przeżarciem przyglądamy się temu, co piszą znaczne odłamy prasy angielskiej, które starają się w sposób opaczny i kłamliwy przedstawić światu sprawy Polski. Czytając te pisma — takie jak „New Statesman and Nation” albo „Tribune”, można odnieść wrażenie, że nie piszą one o jedynym sojuszniku Anglii z r. 1940, jedynym państwie europejskim, które dołączyło do nas, ale o państwie należącym do jakiegoś wrogiego obozu. Zaiste, w całej działalności Polski od początku wojny nie było nic, co mogłoby upoważnić Anglików do traktowania nas w ten sposób. Jest rzeczą niesłychaną w dziejach dyplomacji, aby publicznie rozważać o zmniejszeniu do 50% terytorium państwa sprzymierzonego, w rezultacie wygranej wojny. To zaś jest przedmiotem rozważań „Timesa” oraz całego szeregu innych pism angielskich. Przygotowuje się tu jakieś nowe Monachium, jaskrawe zaprzeczenie wszystkich idei, w myśl których wojna ta została podjęta.

Każdemu wolno mieć poglądy, jakie uważa za stosowne. W XX wieku romantyczne i feudalne przesady o gościnności i wierności przestały odgrywać wielką rolę. To jednak, czego możemy żądać, to jest, aby informacje faktyczne podawane o Polsce nie miały charakteru wyraźnie kłamliwego i aby w tym wypadku były napojbowane jako takie.

Stosunkowo niedawno ukazują się w Londynie nakładem Jonathan Cape Ltd. książki p. George W. Keetona, profesora prawa i dziekana wydziału prawnego w londyńskim University College, a zarazem dyrektora „The New Commonwealth Institute” p. t. „Russia and her western Neighbours” („Rosja i jej zachodni sprzymierzeńcy”). Jak wynika z podanej wyżej tytulatury, autor jest osobistością o charakterze quasi oficjalnym. Zte języki twierdzi nawet, iż jest on jednym z ekspertów rządu brytyjskiego w sprawach wschodnich. Otóż twierdzi, że informacje p. Keetona na temat spraw polskich są wyraźnie kłamliwe i że przekreślenie przez niego stanu faktycznego ma na celu zożydzenie wszystkich co polskie w oczach czytelnika.

Na str. 54 autor pisze:

„Według polskich źródeł urzędowych w 1932 r. było zaledwie 804 szkół czysto ukraińskich. Istniało tylko 7 utrzymywanych przez rząd i 15

prywatnych szkół średnich — dla 5-milionowej ludności. W 1940 r., pod panowaniem sowieckim, było na Zachodniej Ukrainie 6.791 szkół początkowych, w tym 5.596 ukraińskich, 922 polskie, 131 żydowskich, 40 czeskich, 9 niemieckich i 30 mieszanych”.

Jest to oczywiście nonsens. Każdy czytelnik zda sobie od razu sprawę, iż utworzenie 6.000 nowych szkół w ciągu jednego roku na stosunkowo niewielkim terytorium jest absurdem. Prawda wygląda w ten sposób, że między r. 1920 a 1930 wszystkie szkoły na terenie, o którym autor mówi, zostały zutrakwizowane, tzn. dzieci pobierali w nich naukę w połowie w języku polskim, a w połowie w ukraińskim, podczas gdy uprzednio istniały osobne szkoły czysto polskie i czysto ukraińskie. Rząd polski przeprowadzając te zmiany wychodził z założenia, że zarówno dzieci polskie skorzystają z poznania języka swych sąsiadów ukraińskich, jak dzieci ukraińskie z poznania języka państwowego. Jeżeli w 1939 r. było tylko 804 szkół czysto ukraińskich, to cała reszta, to były szkoły polsko-ukraińskie, czy ukraińsko-polskie. Wojska okupacyjne — niezależnie od tego, że na terenach tych mieszkało

30% Polaków, zmieniły te wszystkie szkoły na czysto ukraińskie.

Na str. 55 autor pisze:

„W 1930 r. powstały rozruchy wśród chłopów ukraińskich, zostały jednak okrutnie stłumione przy pomocy wieszania, rozstrzelania, masowego rabunku”.

Jest to znowu oczywiste kłamstwo. W czasie całego okresu rządów polskich na tym terenie nie było więcej jak 10 wyroków śmierci za przestępstwa polityczne i to w stosunku do oczywistych morderców i terrorystów. W r. 1930 nie stracono nikogo. Nałomiast poważne straty w ludziach miały miejsce w związku z walkami ukraińsko-węgierskimi na Rusi Zakarpackiej i w rozrachunkach komunistycznych, gdy wkraczały wojska sowieckie. W latach 1939-1940 Ukraińcy straceni w państwach ościennych liczą się na setki tysięcy.

Na tej samej stronie autor pisze, że ludność Ukrainy i Białej Rusi entuzjastycznie witała wojska sowieckie wkraczające do Polski. Jest to kłamstwo. W każdym kraju istnieją partie komunistyczne. Gdyby wojska sowieckie wkroczyły dziś do Francji czy Hiszpanii, na pewno znalazłyby się ludzie, którzy by witali wojska czerwone

radośnie. Z tego jednak bynajmniej nie wynika, aby Hiszpanie czy Francuzi nie chcieli należeć do III Republiki czy też do Hiszpanii. Wielu Polaków i lojalnych Ukraińców istotnie radośnie witało czerwoną armię, gdyż nie domyślając się celu jej wyprawy sądzili, iż przychodzi ona Polsce na pomoc.

O tym, jaką Ukraińcy zajęli postawę wobec okupacji tych terytoriów, niech świadczy fakt, że wszyscy ci przywódcy, narodu ukraińskiego, którzy nie zdołali uciec do Niemiec, zostali zaaresztowani i wywiezieni do obozów koncentracyjnych w Z.S.R.R., gdzie przeżywać powymierali. Nie byli to faszyści, lecz przywódcy demokratycznego narodowego stronnictwa ukraińskiego, posłowie do parlamentu, nauczyciele i księża. Możemy tu wymienić takie nazwiska jak Kość Lewicki, były premier niepodległej Republiki Ukraińskiej w 1919 r., Dymitr Lewicki, przez ukraińską reprezentację parlamentarną w Polsce, posłowie Celewicz, Wetykanowicz, Kuzmowicz, Pełehński i w ogóle wszyscy absolwenci działające ukraińscy w Polsce, którzy nie zdołali uciec. Jeżeli chodzi o to, aby się przekonać, czy ludność ziem wschodnich Rzeczypospolitej pragnie należeć do Rosji, można tych czołowych polityków ukraińskich, którzy jeszcze żyją w więzieniach w Rosji, sprowadzić na grunt neutralny i zapytać, czy wola należeć do Polski, czy też do Rosji. To będzie jednak niemożliwe, gdyż pomimo wysiłków rządu polskiego żadnych Ukraińców nie udało się wywieźć z Z.S.R.R.

Na tej samej stronie autor mówi, że Ukraińcy z dawnej Rzeczypospolitej walczyli już po stronie Rosji, a po stronie Polski nie chcieli walczyć. Mogę zapewnić pana Keetona, że widziałem żołnierzy ukraińskich, którzy ginęli przy moim boku w Narviku i we Francji i w Libii wtedy — kiedy Ribbentrop był honorowym gościem u niektórych naszych sojuszników.

Według p. Keetona prawa Polski do tych terytoriów opierają się na dwu podstawach — na argumentach historycznych i na argumentach prawnych. Aczkolwiek istotnie uważamy te argumenty za bardzo ważne, to jednak najistotniejszy jest fakt, że mieszkańcy ziem wschodnich niezależnie od narodowości i wyznania pragną należeć do Polski. Jest to fakt, który nie może ulegać żadnej wątpliwości dla każdego, kto za literaturę i publicystykę ukraińską i dla tego, kto obserwował okres okupacji Sowieców we wschodnich ziemiach Polski. To właśnie pragnienie należenia do Polski — rezultat naszej dwudziestoletniej polityki, która aczkolwiek błędna w wielu szczegółach, dała jednak Ukraincom wspaniały rozwój gospodarczy i kulturalny.

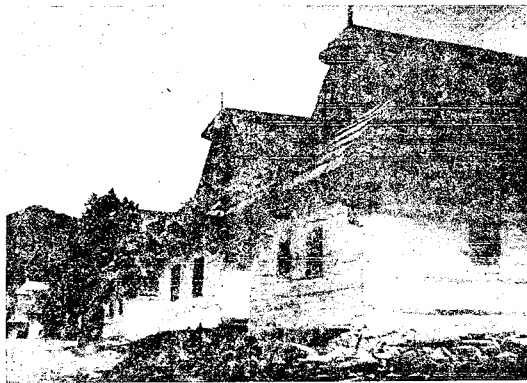
Ten sam argument jest również powodem, dla którego państwa bałtyckie winny zachować niepodległość. P. Keeton na str. 48 insynuuje, iż ludność tych krajów nie żyje sobie niepodległości. Jeżeli tak jest, to należy zapytać się, dlaczego państwa te w ciągu dwudziestu lat nie wykazywały się niepodległości — której tak nie chcą — dobrowolnie? Pisząc o sprawach Besarabii autor twierdzi, że jacyś ludzie uciekali w r. 1940 z Rumunii do Besarabii, którą zajmowały wojska sowieckie. Jest to takie głupstwo dla każdego, który był wtedy w Rumunii, że nie można z nim w ogóle dyskutować. Na okładce książki znajdujemy uwagę o konieczności reformy rolnej i zmiany polityki agrarnej w Rumunii. Autor widocznie nie wie, że wielka własność praktycznie nie istnieje w Rumunii, gdyż została zlikwidowana 23 lata temu w r. 1919.

Moglibyśmy kontynuować te wywody w nieskończoność i wykazywać nowe roje błędów faktycznych p. Keetona. Celem jego książki jest udowodnienie, że sprawiedliwość wymaga, aby poddać Europę środkową pod panowanie jednego z wielkich mocarstw, pobocznym celem jest zożydzić wszystko, co polskie.

Zdrowy instynkt moralny żołnierza brytyjskiego przejrzny na pewno grę polityczną za obłudną maską wywodów etycznych.

Tam gdzie była walka między siłą a prawem, tam Wielka Brytania od lat kilkudziesięciu opowiadała się za prawem. Temu zawdzięczamy to zaufanie, którym się cieszy w Europie. My, Polacy, nie łudźmy dla siebie nic więcej. Chcemy tylko prawa. I mamy nadzieję, że pomimo takich publikacji jak Keetona Anglię nam tego prawa nie odmówią.

W. M.



Chłoty słowackie w Niskich Tatrach. (Do art. na str. 2.)

Anna, żona Witolda Wielkiego Księcia Litwy

Do niedawna było prawie ogólne mniemanie, że pierwsza żona Wielkiego Księcia Witolda była księżniczką ruską, córką smoleńskiego księcia. Jednak po szczegółowych i długich badaniach prof. Ignacy Jonyński w swoim dziele „Rodzina Witolda” dowiódł, że to utarte zdanie nie odpowiada prawdzie, bo wielka księżna Anna, żona Witolda, była rdzenną Litwinką, siostrą Sudimanta, przyjaciółką i współpracownicą Witolda. Pochodziła ona z zamku Sudimanty, z lasów Dzukii, gdzie obecnie się znajduje kurhan Weżyżki (w powiecie olickim). Anna była katoliczką, a nie prawosławną, i bardzo pobożną chrześcijanką, chętna odwiedzająca miejsca święte. Wielka księżna interesowała się nauką, szanowała książki i przypuszczalnie umiała czytać, co w wiekach średnich było rzeczą rzadką, tym bardziej dla kobiety, kiedy nawet niektórzy monarchowie byli niepiśmienni. Litwini są dumni ze swej księżny, o której historycy inwują, że swoją inteligencją i rozumem dorównywała najbardziej wykształconej tej epoki kobiecie Europy.

Wielka księżna Anna była bardzo energiczna, rozumna i czynna, miała duży wpływ na swego męża i była jego doradczynią we wszystkich sprawach. Ze zdaniem księżny liczył się nie tylko jej mąż, ale i współczesni władcy i przedstawiciele obcych państw. Znając jej wielki wpływ w kraju, Krzyżacy często posyłali Annie drogę prezenty, chcąc podkupić jej przychylność. Księżna wraz z mężem brała udział w ważnych naradach państwowych i jeździła z nim wszędzie za granicę, dzieląc z nim dół i niedół.

Znane podanie, jakoby służącą Witolda, Helena Amulicówna, wybrała go z wzięcia, zostało też przez prof. Jonyńską

sprostowane. Prawda okazała się daleko piękniejsza i poetyczniejsza niż legenda. T. Narbutta, bo nie służącą, lecz właśnie sama żona Witolda wybrała go. Odważna, stanowcza i umiejąca przełamać każdą przeszkodę bez wahania, księżna otrzymałaśy pozwolenie na odwiedzenie męża sama została w więzieniu dając możność mężowi, przebranemu w jej szaty, zemknąć; tym sposobem nie naraziła wcale niewinnej służącej na gniew Jagiellów, ale sama na siebie przyjęła karę, bo rozniewany Jagiełło podobno kazał ją publicznie na placu wileńskim różgami wychłostać.

W postaci Różgi kondensują się najbardziej charakterystyczne cechy Litwinek. Matka, ale nie tylko matka, wierna żona i współpracowniczka męża. Ciasno jej jest w czterech ścianach domowego ogniska. Nie pochłaniają jej całkowicie troski rodzinne i gospodarcze, ma ona wyższe cele, interesuje ją życie społeczne i polityczne kraju. Anna idzie przez życie bez wahania się, nie unikając przeszkód, lecz je po drodze odważnie niszczy. Należy jej je jedno z najbardziej chlubnych miejsc w historii Litwy.

Córka jej, Zofia, odziedziczyła po niej ten sam nieugięty charakter, szkoda tylko, że jedyné dziecko Witolda Wielkiego i Anny opuściło Litwę wychodząc za mąż za Wasyla, księcia moskiewskiego, by czynnie brać udział w tworzeniu historii nie swego narodu, a państwa obcego, państwa, które w przyszłości stało się największym wrogiem Litwy.

Wielka księżna Anna umarła w 1418 roku, 16 sierpnia i została pochowana w katedrze wileńskiej, przy ołtarzu św. Mikolajów.

Jeszcze zanim zaczęła się „bitwa o Niemcy” — byliśmy świadkami gry o Niemcy. Pisaliśmy już o niej referując jeden z ostatnich artykułów Voigta (zob. nr 22 „Orzeł Biały” z dn. 23 lipca br.). Gra ta jeszcze się nie skończyła. Zamach na Hitlera był próbą odwądnienia Niemcami przez front junkiersko-komunistyczny, mający swoje najścisze narzędzie działania w moskiewskim „Komitecie Wolnych Niemiec”. Spisek ten nie zlikwidował Hitlera, ale na skutek zamachu władzę w Niemczech objął... Himmler. Trudno w tej chwili przesądzać, jak gra ta potoczy się dalej i czy ogłoszony świeżo przez brytyjską partię liberalną plan odbudowy Niemiec po wojnie nie oznacza, że Anglosasi, którym spór o Pruski Wschódni wytrącił z rąk „demokratyczne” ugrupowania emigrantów niemieckich (rozbite w toku tego sporu przez komunistów — o czym również pisaliśmy w swoim czasie) — nie zechcą podjąć ze swojej strony inicjatyw na terenie Niemiec.

W pewnym sensie elementem tej gry jest także ostatnia rozpoczęta próba znalezienia wspólnego (anglosasko-sowieckiego) rozwiązania sprawy polskiej. Wyraźnie jednostronnie załatwienie tej sprawy mogłoby bowiem stworzyć Niemcom nowe możliwości gry między Anglosasami a Sowieciami. Stąd ogromne zainteresowanie, jakie sprawa polska (po raz kolejny to już w ciągu tej wojny!) budzi dziś w opinii świata.

„Le Progres Egyptien” (z 22 lipca) ocenia zamach na Hitlera jako jedno z decydujących wydarzeń tej wojny i porównuje go ze zwycięstwami pod El Alamein, Stalingradem i Cherbourgim. Dziennik wskazuje na opublikowany po zamachu apel generałów niemieckich, wziętych do niewoli przez Rosjan, w którym nawołują Niemców, by powrócili do „polityki Bismarcka”, tj. by zlikwidowali antysowiecki reżym Hitlera i oparli się na współpracy z Rosją. „Jest rzeczą znaną — pisze „Le Progres Egyptien” — że pierwsza zachęta do rewolty przychodzi z Moskwy”. Pismo znajduje związek między tym faktem a świeżym oświadczeniem Churchilla w Izbie Gmin na temat możliwości... utworzenia rządu komunistycznego w Niemczech.

Pytanie postawione p. Churchillowi przez posła do Izby Gmin Rhysa Daviesa nabiera dziś niemal znaczenia proroczo. Czy mocarstwa sprzymierzone rozwały możliwość — zapytał Davies — że robotnicy niemieccy usuną przed zakończeniem działań wojennych lub po nim obecny rząd nazistowski i utworzą rząd komunistyczny? Czy aliancy są przygotowani na taką ewentualność?

„Wszystko wskazuje dziś na to — pisze dalej dziennik kairski — że należy istotnie liczyć się z taką ewentualnością. Lecz co należy o tym myśleć? Odpowiedź p. Churchilla była zaledwie fragmentaryczna. Zbrodniarce niemieccy — powiedział — nie unikną sprawiedliwości rzucając się prosto w ramiona wiary komunistycznej”.

„Le Progres Egyptien” następnie daje wyraz przypuszczeniu, że Rosja, która poniosła w tej wojnie tak wielkie straty, nie pójdzie na ugodę z „odmienionymi” nagle Niemcami. Pismo sądzi nawet, że Kremł będzie się obawiał skomunikowania Niemiec, gdyż „ryzykowałby przesunięcie środka ciężkości komunizmu ku Zachodowi”, co zapewne nie jest w interesie Moskwy.

W końcu dziennik kairski cytując powiedzenie Churchilla w rozmowie z pewnym przemysłowcem angielskim, który długo wahał się z wydaniem swoich patentów rządowi sowieckiemu. Kiedy Churchill wreszcie napomknął o tej sprawie, przemysłowiec powiedział: „Zdecydowałem się okazać zaufanie Rosjanom”. A Churchill na to: „Ja także” i poprawił cygaro w ustach.

Artykuł kairskiego dziennika doskonale oddaje klimat moralny, w którym rodzą się sugestie, kierowane pod naszym adresem, byśmy również okazywali Sowieciom zaufanie.

Przejdźmy teraz po kolei dostępne nam głosy prasy światowej od chwili, gdy utworzony został samowładny „komitet wyzwolenia narodowego” aż do pierwszych rozmów p. Mikołajczyka z ludźmi, których sam nazwał „uzurpatorami” i „małą kliką komunistyczną”. (Dalsze głosy czytelnik znajdzie w „Wydawnym przeglądzie wydarzeń”, gdzie uwzględniono do nas podstawa prasy włoskiej. My tu korzystamy z prasy egipskiej.)

Dnia 26 lipca prasa egipska zamieszcza komunikat radia sowieckiego stwierdzający, że armia czerwona uważa swoją obec-

NAGA PRAWDA

(Przegląd prasy)

ność na terytorium Polski za wytlumaczoną względami strategicznymi wyłącznie i że Sowieci nie zamierzają ustanawiać w Polsce swoich organów administracyjnych oraz nie zamierzają odbierać Polsce żadnych ziem ani też interweniować w wewnętrzne sprawy państwa polskiego.

Dnia 27 lipca ukazuje się tekst komunikatu PAT'a, w którym „komitet wyzwolenia” w Chelmie napiętnowany zostaje jako zbiorowisko osób na ogół nieznanymi w Polsce i stanowiących „małą grupę komunistów, którzy nie mają żadnego wpływu na naród polski”. Ta „garniturka uzurpatorów” usiłuje narzucić „narodowi polskiemu kierunek polityczny, sprzeczny z poglądami większości Polaków”. Rząd polski i Polska podziemia „nigdy nie poddadzą się woli obcej”.

„Le Journal d'Egypte”, z którego cytujemy ten komunikat, zamieszcza jednak tuż pod nim korespondencję p. Champenois z Moskwy, który stwierdza, że „dla rządu sowieckiego nie istnieje jeszcze w tej chwili żaden rząd polski, który mógłby być uznany za legalny”. Stanowisko to dokumentuje dalsza depesza na tej samej szpalcie pisma, w której podano do wiadomości oświadczenie min. Edena, że Wielka Brytania nadal uznaje legalność rządu polskiego w Londynie. P. Champenois referuje następnie opinię moskiewską, według której Sowieci — postrzymawszy się od interwencji w wewnętrzne sprawy Rumunii — „tym bardziej postrzymają się od takiej interwencji w sprawę Polski sprzymierzonej”.

P. Reache — w następnej korespondencji tegoż pisma, tym razem z Londynu — informuje nas, że ani Londyn ani Waszyngton „nie uznają oczywiście komitetu wyzwolenia”. W kołach dyplomatycznych oświadczonego p. Reache, że trzeba milczeć, by nie pogarszać sprawy i tak już dostatecznie godnej ubolewania.

P. Reache podaje następnie opinię kół polskich, które energicznie zastrzegają się przeciwko stosowaniu do Polski precedensu, stworzonego przez umowę premiera jugosłowiańskiego Subasica z „marszałkiem Tito”. To było jeszcze 26 lipca.

Koła rosyjskie poinformowały tegoż korespondenta, że Sowieci nie ufają „londyńskim Polakom”, ponieważ ich polityka zbyt przypomina „politykę pułkowników”. Sowieci jednak zdają się życzyć sobie, by mocarstwa anglosaskie... uznały władzę ustanowioną przez nich w Polsce wstanie komunistyczne.

Jeszcze tegoż dnia „La Bourse Egyptienne” podaje głosy prasy londyńskiej, która powszechnie domaga się, by premier polski udał się do Moskwy na spotkanie ze Stalinem. W Londynie przyjęto z mieszanymi uczuciami do wiadomości, że prasa sowiecka nazywa utworzenie komitetu chelmskiego „punktem zwrotnym w działaniu”. Prasa londyńska zareagowała na to nieśmiało propozycją, by na Polsce wypróbować „wzór Subasica-Tito” — ten sam, który koła polskie (jak to podaliśmy wyżej) użyły za nie do przyjęcia.

Kronikarz dyplomatyczny Reutersa podaje wiadomość o ofercie p. Mikołajczyka, który zgłosił gotowość udania się do Moskwy. „Przypuszczają — pisze Randal Neale — że drzewi jeszcze się nie zatrzasnęły i powszechnie widzi się w takiej inicjatywie najlepszą — jeżeli nie jedyną — szansę osiągnięcia rozwiązania”. W kołach politycznych Londynu wiąże się wielkie nadzieje z rozmową p. Mikołajczyka z p. Churchillem. Rząd polski obraduje.

„La Bourse Egyptienne” cytuje świeży artykuł moskiewskiej „Pravdy”, w którym czytamy: „Sejda nieinterwencja w sprawy wewnętrzne narodu polskiego i troskliwość szacunku dla praw suwerennych Polaków — o to podstawa porozumienia, zawartego między dowództwem armii czerwonej a administracją polską”.

To samo pismo poświęca następnego dnia obszerny artykuł wstępny podróży p. Mikołajczyka do Moskwy. Zdaniem Stalina — pisze p. Willy Saphir — miał on prawo po odrzuceniu przez rząd polski propozycji sowieckich na temat granicy polsko-sowieckiej po prostu zignorować egzystencję rządu polskiego w Londynie i uznać za rząd polski komitet w Chelmie. „Rozgłos, nadany przez Moskwę grupie Morawskiego, trzeba uważać za objaw wzniesienia się (podkreśl. moje

— m.r.) i jak widać osiągnięto w ten sposób rezultaty konkretne, skoro... rozpoczął się pertraktacje bezpośrednie”.

P. Saphir stwierdza następnie, że „Polacy i Rosjanie — tego nie trzeba przypominać — byli wrogami odwiecznymi w ciągu stuleci i byłoby rzeczą naiwną oczekiwać, że tak głąboko zakorzenione uprzedzenia mogą być usunięte przez jedną misję ministerialną”. Stalin życzy sobie na pograniczu Rosji narodów, kierowanych przez „wypróbowanych przyjaciół” — i demokracje zachodnie „przynajmniej mu zupełną słusność”. Czy to znaczy, że Stalin zechce komunikować Polskę? P. Saphir sądzi, że „Stalin — co nie jest przesadą — będzie raczej wolał zrezygnować z bolszewizacji swoich sąsiadów, niż ryzykować... ochłodzenie przyjaźni brytyjskiej i amerykańskiej”. Wpę nawet nie lek przed ewtl. komentarzem berlińskim (jak wyżej w artykule „Le Progres”), ale troskliwość o przyjaźń anglosaską skłoniła Stalina do wstrzymania na dudków jego komunistycznych agentów!

Rosjanie są — według p. Saphira — zdania, że „wśród Polaków poza Polską istnieje prawdopodobnie taka sama ilość zwolenników rządu w Chelmie, co zwolenników rządu w Londynie”. P. Saphir uważa mowienie o „małej grupie komunistycznej” za niestosowne, gdyż „Tito — czego nie zapomniał — także był przez długi czas nieznanym komunistą pozostającym w opozycji do legalnego rządu jugosłowiańskiego, a przecież... kończy znacząco p. Saphir. Tak jest: „A przecież...”. A przecież p. Subasica, który zawarł umowę z p. Tito — musiał wreszcie odejść, bo już się p. Tito więcej nie podobal. Mimo umowy z p. Tito balagan wewnętrzny w Jugosławii jest przez p. Tito i jemu podobnych nadal podsypany i nikt nie wie (mi w tym) do czego to dojdzie.

„Zakładam, że Polska powinna otrzymać z powrotem swoje granice z r. 1939 — to sprawa do dyskusji” — stwierdza p. Saphir. To prawda, Anglia i Francja zagwarantowały Polsce integralność jej ziem, lecz „ktoż zechce przeczyć, że istnieje stopniowanie w zobowiązaniach (podkr. moje — m.r.) i że należy znawać raczej ducha zobowiązań, niż ich literę?”. P. Saphir jest na prawdę bardzo usłużny. Ten Egipcjanin wszakże trafił na dżentelmenów i nikt nie wzrwanujemy mu się tym samym, gdy Egipt znajduje się w trudnościach!

P. Saphir idzie dalej i rzuca na nas kamieniem wschodnio-pruskim (tym wymyślonym w Moskwie). — Powiada tak: „Jakkż nie przypomnieć, że Polska sama utrwala takie załatwienie sprawy przyjmując ofiarowane jej wielkie rekompensaty kosztem Niemiec?”. Ostrzegaliśmy, że będą nam to zarzucali, a p. Saphir nie jest ostatnim, który tę grudkę błota podjeżdże z ziemi!

Publicysta egipski wskazuje wreszcie na dwa przykłady, których należy trzymać się przy rozwiązywaniu sprawy polskiej: 1. precedensu umowy Subasica-Tito (jako sposobu załatwienia „spraw wewnętrznych”) i 2. umowy Benesa-Stalina (jako sposobu regulacji stosunków zagranicznych). „Misja p. Mikołajczyka — pisze Saphir — nie jest łatwa, lecz tym mniej jest ona beznadziejna”.

Autor cytuje następnie wyjątki ze świeżego artykułu londyńskiego „Timesa”, które potwierdzają jego tezę. „Times” pisze: „Polacy, którzy — gdziekolwiek się znajdowali — pragną żyć w harmonijnej zgodzie ze swoimi wschodnimi sąsiadami, z łatwością zdadzą sobie sprawę, że należy dojść do porozumienia w sprawach, które ich dzielą”. W ten sposób usiłuje się stworzyć wrażenie, że Polacy są niezgodni w sprawie żądań sowieckich.

Zakończenie artykułu „Timesa” także warto przytoczyć. Oto ono: „Marszałek Stalin nieraz dawał wyraz pragnieniu swego narodu, by Polska była świątynią, nieczłowieczną i demokratyczną... Rosjanie dawali do zrozumienia, że są gotowi pertraktować z każdą kombinacją dostatecznie reprezentatywną dla różnych grup emigrantów polskich w Wielkiej Brytanii, w Stanach Zjednoczonych i w Rosji, która nie obejmowałaby jednak czynników otwarcie wrogich względem Sowieckiemu. Trudno byłoby żądać więcej od mocarstwa, którego znaczeniu, wytrwałości i ofiarom Polska

przede wszystkim zawdzięcza swoje wyzwolenie”.

Wpę doszło do tego, że rząd polski reprezentuje już tylko pewną „kombinację reprezentatywną dla pewnej grupy emigrantów polskich”. To ośmiela się pisać dziennik reprezentujący opinię tego samego rządu, który przez usta p. Edena oświadczył publicznie, że dla Wielkiej Brytanii rząd polski w Londynie reprezentuje Polskę, z którą Wielka Brytania w r. 1939 zawarła sojusz.

„The Egyptian Gazette” z 30 lipca cytując londyński „Times”, który nazywa samowładny „komitet wyzwolenia”, „koniecznością” i twierdzi, że „jakiś taki order musiał powstać, by zająć się sprawami administracyjnymi za linią frontu”. Coprawda, ciało to jest raczej prowizoryczne i „wiele uzyskano się dla przyszłej jedności Polaków (i), gdyby reprezentatywni Polacy z Londynu lub skądkolwiek inąd (i) zostali wprowadzeni do tej nowej władzy w Polsce”.

„Times” dodaje: „Marszałek Stalin... ma prawo i obowiązek (i) nalegać, by władza polska stworzona w wyzwolonej Polsce była taką, której przyjaźnie postawie wobec Rosji nie można by zarzucić”.

Jak donosi „La Bourse Egyptienne” z 31 lipca, „Daily Express” poświęcił podróży p. Mikołajczyka artykuł wstępny, w którym pisze: „Jest dobrym znakiem, że p. Mikołajczyk — jak się zdaje — wyjeżdża do Moskwy w nastroju rozsądnym i realistycznym. Jest to stan ducha zgodny z wymogami chwili. Prowizoryczne uznanie linii Curzona z ewentualnymi późniejszymi poprawkami stanowi minimum, jakiego może się domagać Rosja... Bezpieczeństwo, pokój i nowa pomyślność Polski zależą od dobrych stosunków z Rosją”.

Korespondent „Sunday Times” w Moskwie pisze 30 lipca, że „Nie ma wątpliwości, że istnieje tu pragnienie takiego rozwiązania, które byłoby zadowolające dla Aliantów”. Czyż istnieje wątpliwość, że Aliantów zadowoli każde rozwiązanie, zadowolające dla Rosji? Korespondent sądzi, że dalszy bieg wypadków „prędzej lub później przekona także i te czynniki, które dotąd zajmowały wobec Rosji postawę nieprzejednaną”. Istotnie, bieg wypadków idzie w tym kierunku. Będzie to przekonywanie łagodne, etapami, chciech — jak lapa złodziejska wsuwa się do cudzej kieszeni — ale tym bardziej „przekonywujące”!

„Z drugiej strony — dodaje korespondent, tym razem wyjątkowo „dobrze poinformowany” — polega i ogromny prestiż armii czerwonej wywierają olbrzymi wpływ moralny na ludzi w samej Polsce”. Wpływ ten jest tym większy, że w Londynie potęga ta i ten prestiż są jeszcze większe, niż z bliska!

W dniu 1 sierpnia „Daily Telegraph” przewiduje już, że w razie pomyślnego zakończenia misji p. Mikołajczyka rząd polski mógłby się przenieść do Warszawy po jej wyzwoleniu. „Przypuszczają się, że usunięcie antysowieckich członków gabinetu polskiego byłoby jednym z warunków sowieckich”. To samo pismo dodaje, że p. Mikołajczyk jest obecnie gotów „przyjąć linię Curzona jako prowizoryczną linię demarkacyjną” i sądzi, że ostateczne wyznaczenie granicy polsko-sowieckiej powinno być dokonane po wojnie.

„Le Progres Egyptien” zamieszcza w dniu 2 sierpnia wywiad z korespondentem Reutersa Haroldem King, który wyjechał z Moskwy w pierwszym tygodniu po otwarciu „drugiego frontu” i oświadcza:

„Gdybyśmy wiedzieli, co mówiono i o czym dyskutowano w czasie konferencji teherańskiej, zrozumielibyśmy, że zdaniem kierowników mocarstw zachodnich straszak bolszewicki nie istnieje... Sprzymierzeni mają zaufanie do Sowieciów, a Sowieci do nich... Narod i rząd sowiecki są absolutnie pokojowo nastawione”. Na pytanie, czy polega militarna Sowieciów nie osłabła w ciągu ostatnich trzech lat — p. King oświadczył, że mimo wielkich strat, ale dzięki pomocy Angli i Ameryki oraz dzięki rozbudowie własnego przemysłu za Uralem Sowieci „nie znajdują się obecnie w stanie słabości”.

P. Harold King tak zakończył wywiad: „Cóż to za wspaniała wizja świata jutrzejszego, którą rysują sobie politycy na Krenmlu! Można by przypuszczać, że ma się do czynienia z idealistami. Ale nie — to są realści. Czego sobie życzą przede wszystkim, to pracować spokojnie i szczęśliwie, jak to czynili w okresie między dwiema wojnami”. Tak jest, niewątpliwie — zmierzamy ku światłu w pewnym sensie idealnemu — w sensie kremlińskim.

(m. r.)